

TYGODNIK ILLUSTROWANY



POWRÓT ZE SPRAWUNKÓW
Z Salonu T. Z. S. P.

ALFRED WIERUSZ-KOWALSKI

Dla nas wszystkich, którzy patrzyliśmy z blizka na pierwsze kroki Kowalskiego, którzy stanowiliśmy grono pierwszych jego kolegów, tak pięknie rozwinięta karyera artystyczna nie była niespodzianką. Wszystkie cechy charakterystyczne skończonego artysty mogliśmy poznać i ocenić w zarodku. Kowalski stanął odrazu na drodze, która prosto go prowadzić miała do przeczuwanego zaledwie w młodym umyśle, a dziś już osiągniętego celu.

Sięgając w niniejszej mojej notatce w czasy tak odległe, czynię to w celu objęcia jednym rzutem oka całej karyery artystycznej mistrza, który zdobył sławą niejednym liść wawrzynu sztuce polskiej przysporzył; chcę rysy znamienne jego talentu zaznaczyć od chwili, gdy indywidualność jego zaczęła się kształtować, gdy, rozwijając się następnie bezustannie, potęgowała się i wzrastała, aby dojść w końcu do wyżyn, które niepospolity ten talent w sztuce naszej współczesnej zajął.

Pierwsze rysunki, z gipsu, lub z natury robione studia nosiły na sobie ślady wrodzonego smaku, łatwości w przyswajaniu środków technicznych, wreszcie niepospolitego talentu, który mu pozwalał zwyciężać napotykaną trudności. Talent jego był zawsze posiłkowany niezmordowaną pracą, a zdolność do pracy trzymała w karchach zbyt gwałtowne porywy. Stąd w rozwoju twórczości Kowalskiego nie znać nagłych odskoków od równej, gładkiej, raz wytkniętej drogi, nie znać rwania się bezwiednie szamocącej się po manowcach duszy, lecz dojrzeć można natomiast równowagę artysty, który, urobiwszy w sobie pewne ideały, wierzy w ich doskonałość i ciągle ku nim dąży.

Przez ciąg trzyletniego pobytu w szkole rysunkowej Kowalski, jako początkujący uczeń, wybija się na pierwszy plan. Robi szybkie postępy, rysunki jego są cenione przez profesorów, koledzy zaś, uznając jego niezwykle talent, rokują mu przyszłą sławę.

W końcu 1870 r. udaje się do Drezna, dokąd rokiem wprzód wyjechał był Czachórski. Zapisawszy się tam do akademii, pilnie studjuje żywego modela, a przytem zaczyna malować. Z epoki tej znany jest duży portret J. I. Kraszewskiego, malowany z natury, a w 1872 r. wystawiony we Lwowie. Poznaje się w akademii z młodym stypendystą czeskim, Wacławem Brozikiem, a pociągnięty przez niego, porzuca zaczęty duży obraz „Śmierć Czarnieckiego“ i wyjeżdża z nim do Pragi, gdzie przez ciąg kilku miesięcy we wspólnej z przyjacielem maluje pracowni. W Pradze zaczyna się samodzielna twórczość Kowalskiego kilku niewielkimi obrazkami, których przedmiotem były dzieci. Obrazki te nabywa słynny Kunsthaendler praski, Lehman. Tymczasem naszkicowany najprzód na kartonie, a następnie na płótnie podmalowany, Czarniecki czeka lepszych czasów, aby w rezultacie pozostać nigdy nie skończonym szkicem.

W styczniu 1873 r. przybywa Kowalski

do Monachium i wnet przyjęty jest przez profesora Wagnera do malszuli, równocześnie zaś z jednym z warszawskich swych jeszcze kolegów bierze pracownię prywatną. Po upływie semestru punkt ciężkości pracy artystycznej przenosi z akademii do pracowni, w końcu Kowalski opuszcza zupełnie szkołę, namalowawszy w niej kilka studyów i otrzymawszy za nie list pochwalny. Odtąd za-



Prof. ALFRED WIERUSZ-KOWALSKI.

czyna się niezwykle żywotna twórcza praca młodego malarza, prowadzona w szybkim tempie ciągłego rozwoju, ciągłego postępu, mnożą się coraz liczniejsze szeregi obrazów, w których z coraz większą siłą ukazuje się talent niepośledniego artysty-wirtuoza.

Będąc, jak wszyscy młodzi, pod wpływem panujących aspiracji, Kowalski twórczość swoją pierwiastkową zjednoczył z dążnościami, które ujawniali tak różni i tak oryginalni artyści, jak: M. Gieryski, Brandt i Chełmoński. Dzięki usiłowaniom tych mistrzów na tle sztuki współczesnej pojawił się kierunek nowy zupełnie swą indywidualnością wewnętrzną, zrodzony wprawdzie z modnego naówczas „stimmungu“, lecz posiadający w swych częściach składowych coś nieokreślonego, a jednak bardzo zdecydowanego, co na pierwszy rzut oka polskie jego pochodzenie zdradzało.

Kowalski stał się odrazu integralną częścią kierunku, wszedł w szranki, jako nowa, odmienna, lubo wspólnością celów związana z ówczesną grupą monachijską, indywidualność.

Na tle polskiego krajobrazu zaczyna Kowalski wysnuwać refleksy swych wrażeń, w których koń i człowiek wiążą się w jednolitą całość fragmentów, w naturze podpatrzonych. Daje on nam kolejno rozmaite wypadki w podróży, pochody, sceny miasteczkowe, powroty z zabaw, jarmarków, sceny z życia dworu wiejskiego, z polowań, następnie wprowadza bardziej dramatyczną nutę wraz ze swoimi napadami wilków, które mu taką

wziętość i sławę przyniosły. O ile tłem u niego jest zawsze życie potoczne, część małego światka, widzianego okiem artysty, a upoetyzowanego nastrojem poranków lub zmroków, grozą zimy lub efektem jesieni, o tyle wątkiem jego kreacji jest zawsze psychologiczny wyraz ludzkich postaci, lub literacki, anegdotyczny podkład. Kowalski nie jest nigdy fotografem natury, jest on raczej ilustratorem pewnych faktów, w życiu napotykanym. Ten rys charakterystyczny jego twórczej organizacji może być kluczem, pozwalającym odgadnąć źródło wielkiego jego powodzenia wśród szerokich mas.

W karyerze artystycznej Kowalskiego, ślad w ślad za rozwojem jego wrodzonego talentu, idzie coraz to większe uznanie, powodzenie i sława. Artysta nasz w bardzo krótkim stosunkowo czasie staje się jednym z najwybitniejszych artystów środkowej Europy, jednym z najpopularniejszych i najbardziej cenionych mistrzów europejskich ognisk sztuki. Obrazy jego mieszczą się prawie we wszystkich muzeach znakomitszych, artysta otrzymuje pierwszorządne odznaczenia, jak wielkie złote medale w Monachium, Wiedniu, Lwowie, tytuł honorowego profesora Akademii monachijskiej, ordery.

Zbывая wszystkie swe dzieła w pracowni, Kowalski bardzo rzadko nadsyła obrazy do kraju, to też urządzona w lokalu Towarzystwa Zachęty specjalna jego wystawa jest niecodzienną uroczystością. Na wystawę tę składa się dwadzieścia kilka obrazów, większość z nich są utworami, powstałymi w ciągu ostatnich lat paru. Mamy możliwość oglądać i podziwiać dzieła mistrza, którego zagranicą za pierwszorzędną siłę uznano, a sztuka nasza za jednego ze swych koryfeuszów uważa.

Kilka z prac wystawionych są echem podróży, jaką artysta odbył do Egiptu i Arabii, nowy zupełnie motyw w jego twórczości, resztę stanowią dawniej nam znane motywy wiejskich w szalonym pędzie przejażdżek, zalotów w podróży, wreszcie scena z wilkami.

Kowalski pozostał sobą, a jeżeli jest jaka zmiana w wykonawczej stronie jego obrazów, to szukać jej należy w furii wirtuozowskiej, która przekonywa widza o łatwości, z jaką artysta uplastycznia swe pomysły szerokimi rzutami pendzla.

Obrazy dawniejsze były bardziej skończone, dodałbym, bardziej zharmonizowane w kolorystyce, najnowsza produkcja jest jaśkrawsza w barwnych zestawieniach, szersza i zamazystsza w technice.

Że nowy ten zwrot w karyerze Kowalskiego nie ujął w niczem znaczenia prac jego, dowodzi coraz to wzmagające się uznanie, jakim dzieła jego się cieszą: ostatnie jego ze Wschodu zaczerpnięte motywy sprzedawane były na wagę złota, jak nas dochodzą wieści.

H. PIĄTKOWSKI.



POLOWANIE Z SOKOŁEM
Z Salonu T. Z. S. P.

ALFRED WIERUSZ-KOWALSKI

LUCYAN RYDEL: PRZEKŁADY POEZJI GRECKIEJ.

I.

HYMN HOMERYCZNY DO DYONYSYA.

Rozgwarny i bluszczem uwieniczon niech pieniem
się tem uweseli
Dyonys, przesławny syn Zeusów, zrodzony
z chwalebnej Semeli;
Wzdy Nimfy o pięknych warkoczach, ojcową
spełniając w tem wolę,
Do piersi go swych przysadziły, a tak wykarmiły
pacholę.

I rósł, gdzie Nisajskie doliny, od swego rodzica
w oddali,
W chłodami dyszącej pieczarze... Bogowie go
bogiem uznali;
A kiedy pieśniami wielbiony w boginek wychował
się gronie,
Wawrzymem i bluszczem uwieniczon, pobieżał,
gdzie leśne ustronie.

Szły Nimfy za jego przewodem, a las brzmiał
hukaniem w pogłosie.
Ty przeto, szafarzu gron winnych, pozdrowion
bądź, Dyjonysosie,
Ty spraw, niech nam jedna po drugiej wesoło
godzina ulata
I niechaj tak z godzin wesołych najdłuższe
splatają się lata.

II.

Z ANAKREONTYKÓW.

1) PIEŚŃ O DYONYSOSIE.

Który sprawia, iż młody
W znojne gotów iść zawody
I w żądzach niewyczerpany,
Nie opada z nóg;
Który w skoczne wprawia tany
Rój tancerzy rozhulany —
Zstąpił na nas bóg!

Nam, śmiertelnym, na pożytek
Czarodziejski dał napitek,
Co wszelakie troski leczy,
Płód złocistych gron;
A gdy pełne drogiej cieczy,
Któż je trzyma w swojej pieczy,
Jeżeli nie on?!

Kiedy grona się obrzeże,
On w opiekę ludzi bierze,
Iżby, zdrowi, wszyscy w godzie
Pili winny sok:
Zdrowi—w pięknych ciał urodzie,
Zdrowi—w lubej serc pogodzie
Aż po przyszły rok!

2) PIEŚŃ O WINIE.

Bakchus to Zeusów syn,
On duchy zwalnia z pęt...
— Gdy ssałem tchnący płyn,
Zstępuje mi do trzew,
Skaczę w taneczny pęd!
— Gdym upojeniem zjęt,
Raźniej mi krąży krew
I taki ze mnie pan,
Jakbym pół świata miał...
Więc głośniej dzwoni śpiew,
I huczniej dudni dzban.
— W miłosny wpadam szal
I znów chcę skoczyć w tan!

3) STARY HULAKA.

Choć stary długimi laty,
Więcej piję, niżli młody,
W płas jam gotów już...
Dzierzę wina wór brzuchaty,
Nie mnie z różdżką chorowody...

A kto pragnie iść na boje,
Niech wojuje—mniejsza o to!
Dla mnie wina kruż
Zmieszaj, podaj, chłopię moje,
Niech mi płynie strugą złotą.
Chociaż jestem starym dziadem,
Lecz Sylena pójde śladem
I w płas ruszam już!



GÓRAL
Z Salonu T. Z. S. P.

ALFRED WIERUSZ-KOWALSKI

BOLESŁAW PRUS:

DZIECI

POWIEŚĆ.

25

— Co?... — krzyknął Władek—on ci to mówił, kiedy odeszliście na bok?...

— On... on!... A kiedy oświadczyłem, że nie wolno zabijać ludzi bezbronych i niewinnych, wiesz, co odpowiedział?... Że taki interes mocniej nas zwiąże, aniżeli przysięga... Bo przecież wiadomo, że, kto przeleje krew, już nie ma po co wracać między burżujów...

— Niechże piorun trzaśnie takiego Zajączka!...—mruknął Władek.

— Oto widzisz, z kim mieliśmy rozpocząć wojnę o wolność, równość, braterstwo i sprawiedliwość!... A teraz weź z drugiej strony—Starke, ambitnego kandydata na dowódcę. Miał zająć się żywnością, a co zakupił?... flaszkę wódki, tuzin bułek i tuzin serdelków... Ja, jak Boga kocham, po prostu nie rozumiem: co może się dziać w podobnej mózgowicy?... Dla kilkudziesięciu ludzi, na kilka dni, tuzin bułek!...

— On tak widać zbaraniał — rzekł Władek.

— Przepraszam, ale cóż to za oficer, który już na początku baranieje, choć nie było ani cienia niebezpieczeństwa... A tak lubi krytykować innych... tak rwie się do władzy!...

— Więc co myślisz zrobić?...—zapytał Władek.

— Planu jeszcze nie mam... Najpierw pojedę do domu i stanowczo poproszę stryja o pieniądze. Po świętach wrócę do X., zwołam zgromadzenie ogólne, złożę rachunki i podam się do dymisyi.

— A jeżeli nasz związek upadnie?...—wtrącił Władek.

— Nie stanie się nic złego!... — odpowiedział Świrski, machając niedbale ręką. Spokojniejsi wezmą się do książki, a inni wstąpią do innych partyi. Cóż to, czy już niema Pędzelka, niema Vogla?...

— No, ale co będzie z tobą?... — nalegał Władek.

— Spodziewają się rewolucyi w Rosyi lada dzień—mówił Świrski—więc tam pojedę i wstąpię do regularnego wojska.

— Zacziesz od porucznikostwa, jak Bonaparte...—szepnął Władek.

— Bonaparte od pasania świń!...—odparł niecierpliwie Świrski i zarumienił się. —Gdybyśmy nie mieli obowiązku popierania rosyjskiej rewolucyi, rzuciłbym wszystko i wyjechał zagranicę. Ale dzisiaj ich wolność to nasza wolność.

IX.

W niedzielę rozdrażnienie Linowskiego ustąpiło stanowczo. Oczy straciły blask, niezdrowy, zniknęły wypieki, puls wyrównał się, zmiękł i zwolnił. Chory zaczął ziewać i oświadczył, że ogarnia go senność. Żona

W OCZEKIWANIU
NA MYŚLIWYCH



ALFRED
WIERUSZ-KOWALSKI

Z Salonu T. Z. S. P.

dała mu świeżą bieliznę i powlokła pościel.
— Ach, jak mi tu dobrze!...—mruknął pacjent, przeciągając się.

W kilka minut zasnął, a panna Jadwiga oświadczyła Świrskiemu i Władkowi, że już nie potrzebuje ich pomocy.

— Ale ty nie odjedziesz?... — zapytał z niepokojem Władek kolegę. — Zmiłuj się, zostań choć do przyjazdu Dębowskiego, który będzie tu lada chwilę...

— Co prawda, nie mam nic lepszego do roboty—odpowiedział Świrski i obiecał zostać bodajby na całe święta.

— Akurat!... A twój stryj?... —

— Wytrzyma!...—rzekł Świrski. W rzeczy samej nieprzyjemnie było mu myśleć o powrocie do domu i rozmowie ze stryjem, przed którym już nie wypadało ukrywać ani dziecinnego spisku, ani nieszczęśliwej wyprawy na... Linowskiego.

Świrski teraz dopiero zaczął przypatrywać się gospodarstwu podleśnego, które go zdziwiło. Przy domu rozciągał się, dziś zasypany śniegiem, ogromny ogród owocowy, jarzynowy i kwiatowy, a w nim pasieka z kilkudziesięciu pni. Stodoła, obora, stajenka, chlewy i kurniki były doskonale utrzymane i wypełnione. Obok domu stała oddzielnie kuchnia, a zarazem mieszkanie służby.

Nareszcie dom państwa podleśnych był tak wielki, że mieścił na górze i na dole z dziesięć pokoi, wygodnych i umeblowanych przyzwoicie, choć poprostu.

— Mój drogi—rzekł Świrski—ależ wy jesteście ludzie zamożni!...

— Choć mój ojciec bierze niewielką pensję?—zapytał Władek, rumieniąc się.—Widzisz, jest tak. Najprzód od zarządu dostaliśmy trzydzieści morgów, prawo zbierania płodów leśnych i trzymania takiej menażery,

jaka nam się podoba... Następnie matka moja wniosła ojcu pięć tysięcy rubli posagu, który, co prawda, został nietknięty do dziś dnia. Ale najważniejsze to, że matka jest znakomitą gospodynią... Przecie do nas już od sześciu lat zjeżdżają się na naukę gospodarstwa wiejskie panienki... takie sobie, skromne: córki rządców, dzierżawców i mniej zamożnych dziedziców... W tym roku mieszka ich u nas cztery, tylko wyjechały na święta... No i płacą matusi... niewiele, ale płacą...

I w dalszym ciągu zaczął pokazywać Świrskiemu rozmaite urządzenia wewnętrzne. Więc dwa pokoiki, zajęte przez panny, gdzie stała spora szafka książek, maszyna do szycia, krosna, kołowrotek... Potem zaprowadził go do wielkiej izby za kuchnią, gdzie były przęsnice i warsztat tkacki. Tu dziewczęta z sąsiedniej wsi uczyły się bezpłatnie szyć i tkąć, a także czytania, pisania i najłatwiejszych rachunków.

— A czego się uczą panienki?... — zapytał Świrski.

— Wszystkiego: tkactwa, przędzenia, szycia, gotowania, hodowli wszelkiego zwierza domowego, które beczy, ryczy, chrząka, gdacze i kwacze, a nareszcie chodzenia około ogrodu i pasieki...

— Bój się Boga, na cóż im tyle wiadomości?...—zawołał Świrski.

— Właśnie na to, ażeby były gospodyniami, jak mamusia, i ażeby umiały inne uczyć... Czy uwierzyłbyś, że w okolicy jest już ze cztery domy takie, jak nasz, a z każdego co parę lat wychodzą doskonałe gospodynie.

— Ale gdzież pani Linowska nauczyła się tego?

— Mój kochany... mamusia to jest cud!... Jak się trochę uspokoi, a ty lepiej

ją poznasz, zaraz ci powie: mężczyźni zmarowali Polskę, a baby ją odkupią...

Koroną gospodarstwa pani Linowskiej była spiżarnia. Tam stały beczułki i kamienne garnki z powidłami, miodem, borówkami, marynowanymi rydzami i grzybami... Tam słoje konfitur, butelki soków, gąsiorzy starych wódek, pitnych miodów i nalewek. Tam wisiały wieńce grzybów suszonych i śliwek na rożenkach. Tam wreszcie czekały na swoją kolej doskonałe wędliny pani Linowskiej, sławne w całej okolicy...

— Wiesz, mój drogi — rzekł Świrski — że my ze stryjem, choć mamy sto razy więcej od was ziemi i pieniędzy, o takiej spiżarni nie śmielibyśmy marzyć!...

— Za to musi być koło was z kilkanaście spiżarni, przypuścimy... cokolwiek mniejszych od naszej!...

Obaj zaczęli się śmiać i rzucać na siebie bryłami śniegu. Nagle Świrski spospomniał i rzekł, że pójdzie położyć się.

Istotnie poszedł na górę, położył się, ale nie myślał o spaniu. Był zadowolony, że w chorobie Linowskiego nastąpiło przesilenie; zachwycił się gospodarstwem pani Linowskiej; podziwiał jej energię, ale, wśród zadowoleń, zachwytów i podziwów, czuł w sercu niepokój, niesłuchanie malutki, nie większy od ukłucia szpilką, a jednak dokuczliwy.

„Co to może być?... skąd to może być?...—zapytywał siebie.—Prawda, zrobiło się świństwo z tym napadem na Linowskiego... pani spogląda na mnie, mimo całej uprzejmości, jak na zdechłego psa... No, ale choroba kończy się, a już moją rzeczą będzie wypłacić się tak, ażeby nie żalowali nie-
szczęścia... —

(DCN)



Wierusz-Kowalski

BWS

ZAWIERUCHA ŚNIEŻNA — ZAWIANE ŚLADY
Z Salonu T. Z. S. P.

ALFRED WIERUSZ-KOWALSKI



U STUDNI W GÓRACH ATLASU
Z Salonu T. Z. S. P.

ALFRED WIERUSZ-KOWALSKI

Aż w końcu poleciała na wieś, do kobiet, a kogo jeno dostrzegła, to mu już zdała krzyczała:

— Wiecie, a to mój powrócił. Śpi sętera w stodole.

I tak śmiały się jej oczy i twarz, i tak wszystka tchnęła rozradowaniem i weselem, jaże kobiety się dziwowały.

— Urzekł ją ten wisielec, czy co? Do cna zgłupiała.

— Zarno się ona pocznie wynosić a nos zadzierać, obaczycie!

— Niech jeno Antek wróci do dawnego, to jej rura zmięknie—poredzały.

Juści co nie słyszała tych pogadek, ale, przyleciawszy do chałupy, wzięła się na ostro do sporządzania sutego obiadu, lecz, dosłyszawszy gęsi, krzyczące na stawie, wypadła je przyciszać kamieniami, że ledwie z tego kłótnia nie wyszła z młynarzową.

Właśnie co ino była podwieczorek posłała ludziom na pole, gdy chłopcy przyszły ze stodoły. Narządziła im obiad pod domem w cieniu i na chłodzie, podając nawet gorzałkę i piwo, zaś na dojadkę postawiła z pół sitka dobrze żrałych wisien, które była przyniesła od księżej gospodyni.

— Obiad suty, jakby na weselu—zartował Rocho.

— Gospodarz wrócił, małe to jeszcze wesele?—odparła, zwijając się kole nich i mało wiele sama pojedając.

Po skończeniu Rocho zaraz poszedł na wieś, obiecując się na wieczór, zaś ona spytała nieśmielem męża:

— Chcesz to obejrzyć gospodarkę?

— A dobrze! Święto się już skończyło, trza się będzie brać do roboty! Mój Boże, anim się spodział, co mi tak rychło przyjdzie ojcowizna!

Westchnął i poszedł za nią; powiodła go najpierwej do stajni, kaj parskały trzy konie, a w zagrodzie kręcił się żrebak; potem do pustej obory, zaś jeszcze potem do stodoły, do tegorocznego siana; zaglądał nawet do chlewów i pod szopę, gdzie stały różne narzędzia i porządki.

— Bryczkę trza będzie przetoczyć na klepisko, bo się do cna rozeschnie.

— A bo to raz przykazywałam Pietrkowi? Cóż, kiej me nie słuchał.

Zaczęła zwoływać prosięta i drób, sielnie się przechwalając dużym przychowkiem, a kiej i to obejrzał, odpowiedziała szeroko o polnych robotach, gdzie co posiane i wiele każdego z osobna, pilnie przytem naglądając mu w oczy i wyczekując, ale on sobie wszystko poukładał w głowie po porządku, przepytując jeno o to i owo, a dopiero w końcu rzekł:

— Jaże uwierzyć trudno, żeś to wszystkiemu sama uredziła!

— La ciebie tobym i więcej zmoęła—szepnęła gorąco, strasznie rada z pochwały.

— Chwat z ciebie, Hanuś, chwat! anim się spodział, coś taka.

— Było potrza, to juści co człowiek kulasów nie pożałował.

Obejrzał nawet sad, pełen wiśni już przez pół czerwonych, i grzędy, kaj rosły cebule, pietruszka i kapuściane wysadki.

Wracali już z powrotem, gdy, przechodząc kole ojcowej strony, zajrzał do środka przez wywarne okno.

— A kajże to Jagna?—latał zdumionymi oczami po pustej izbie.

— A kaj! u matki! Wygnałam ją!—rzekła twardo, podnosząc na niego oczy.

Ściągnął brwie, przedeliberował czas jakiś i, zapalając papierosa, rzucił spokojnie, jakby od niechceunia:

— Dominikowa zły pies, nie przepuści nam bez precesu.

— Już pono wczoraj latały ze skargą do sądu.

— Od skargi do wyroku droga szeroka! Ale trza to będzie wziąć dobrze na rozum, bych nam nie wystroiła jakiego figła.

Opowiadała, z czego to wszystko poszło i jak się stało, wiele juści pomijając, nie przerywał, ni pytał, brwie jeno marszcząc i łyskając oczami, dopiero, kiej mu zapis podała, ośmiał się kąśliwie:

— Tyle wart, co możesz z nim bieczyć za ścianę.

— A juści, przeciek to ten sam, co go jej dali ociec!

— I stoi właśnie złamany patyk! Jakby się odpisała u rejenta, toby co znaczyło. La śmiechu go rzuciła!

Cisnął ramionami, zabrał Pietrusia na ręce i ruszył do przełazu.

— Obaczę pola i wróć!—rzucił za siebie, iż ostała, chociaż dziwnie pragnęła z nim poleżeć, on zaś, mijając bróg, już odnowiony i pełen siana, przyglądał mu się z pod oka.

— Mateusz go wyporządził. Samej słomy na dach wykęcili ze trzy kopy—wołała za nim, stojąc na przełazie.

— A dobrze, dobrze—mruknął, nie był ta ciekaw bele czego. Przeszedł ziemniakami i puścił się miedzą.

Latoś na polach z tej strony wsi były prawie same oziminy, i bez to niewiela ludzi spotykał po drodze, a z kim się zeszedł, tego witał krótko i prędko przechodził. Zwalniał jednak coraz bardziej, gdyż Pietruś mu ciążył i jakoś dziwnie rozbierało go nagrzane, ciche powietrze. Przystawał, to siadał, nie przestając oglądać prawie każdego zagona z osobna.

— Ho, ho! żółtocha dusi len!—wykrzyknął, stając przy zagonach, niebieskich od kwiatów, ale gęsto poprzerabianych żółtaczkami—kupiła siemię zapaskudzone i nie przewiała!

Wstrzymał się potem przy jęczmieniu, który był mizerny i już przypalony, a ledwo widny z pod ostów, rumianków i szczawiów.

— Na mokro siali! Spyskał rolę, kiej świnia! A żeby cię, jucho, pokręciło za taką uprawę! A jakoś ćierwo zbronował! sam perz i kotyry!

Splunął rozezlony i wszedł na ogromny łan żyta, co, niby wody, spławione we słońcu, kolebały mu się do nóg, bijąc chrzęstliwymi, ciężkimi kłosami. Rozradował się głęboko, gdyż była pięknie wyrosnięta, słomę miała grubą i kłosy, niby baty.

— Kiej bór, idzie! Ojcowego to jeszcze siania! We dworze nie lepsze!—wykruszył kłos, ziarno było dorodne i pełne, ale jeszcze miętkie—za dwa tygodnie czas mu będzie pod kosę. Byle jeno grady nie zbiły.

Ale nad pszenicą najdłużej się cieszył i napasał oczy, bo, chociaż szła nierówno, kłębami a zatokami, lecz z czarniawych, lśniących piór już się łuskały gęste i wielkie kłosy.

— Sypnie niezgorzej. Trzaby jeszcze miejscami przysiec, za bujna. Na górce, a nic ją nie przypaliło! Czyste złoto idzie!

Był coraz dalej, wspinając się zwolna pod łagodne wzgórze, na którym wyrastała czarna ściana boru. Wieś ostała za nim, jakby na samym dnie, pławiła się w sadach, a przez przerwy między chałupami polśniewał staw lub jakieś okno zagrało w słońcu.

Kajś pod smętarzem cięli koniczynę, i kosi migotały nad ziemią, niby te sine błyskawice, gdzie znów czerwieniały kobiece przyodziewy, i stada białych gęsi pasły się na wązkich ugorach, a za wsią, w zielonych polach ziemniaków, ruchali się ludzie, kiej mrówki, zaś jęszcech wyżej, w nieprzejrzanych dalekościach, majaczyły jakieś wsie, domy samotne, drzewa pogarbione nad drogami, wielgachne pola, i widziały się jakoby potopione w modrawej i wrzącej wodzie.

Głęboka cichość szła górą nad ziemiami, rozpalone powietrze jaże ślepiło migotem, ziejąc takim skwarem, że skroś tych białawych, roztrzęsionych płomi jeno niekiej przeleciał bociek, ważąc się ciężko na omdlałych skrzydłach, i zaziajane wrony przefrunęły.

Skowronki śpiewały kajś niedojrzane, niebo wisiało wysokie, rozpalone i czyste, że tylko gdzieniedzie warowała na tych niebieskich polach jakaś biała chmurka, kieby ta owca zbłąkana.

Zaś po ziemiach baraszkował suchy i gorący wiat, przewalając się, jak pijany, czasem podrywał się z prześwistem, jaże płoszyły się ptaki, albo gdziesik przyczajony buchał zagnała we zboża i skłębiał je, mącił, wzburzał do dna i przepadał znowu niewiada kaj, a rozkolebane zagony długo jeszcze gędziły i cichuśko, jakby się skarżąc na wiusa.

Antek przystanął pod lasem, na ugorze i znowu się ozgniewał.

— Jeszczek nie podorany! Konie stoją przez roboty, gnój spala się na kupie, a ten ani się zatroszczy! Ażeby cię!—zaklął, ruszając pod borem ku krzyżowi na topolowej drodze.



FRAGMENT Z TARGU W MIASTECZKU
Z Salonu T. Z. S. P.

ALFRED WIERUSZ-KOWALSKI

WRÓŻBIARSTWO.

Minęły bezpowrotnie, zda się, czasy, gdy wróżbiarze, na astrologii się opierając, wywierali przemożne wpływy na bieg wypadków w życiu władców, państw i narodów.

Znaczny postęp w popularyzacji nauk przyrodniczych wpłynął prawdopodobnie głównie na to, że dziś nie traktuje się poważnie wpływów wszelkich ciał niebieskich na losy życia pojedynczego człowieka.

Ten sam jednak postęp nauk przyrodniczych, szczególnie zaś antropologii, fizjologii, biologii, psycho-fizjologii, przekonał nas, że, pomimo dużych bardzo odkryć w tej dziedzinie wiedzy, pomimo szerokich licznych badań, a może dzięki właśnie nim, olbrzymia jeszcze kurtyna wisi przed nami i zasłania nieznaną zupełnie zjawiska, które odczuwamy, przeczuwamy raczej, lecz o których zgoła żadnego pozytywnego pojęcia nie mamy.

Na tle tych mglistych dociekań powstał spirytyzm, badający zjawiska niewidzialne.

Na tle tem powstały szeregi nie nauk, nie teorii wiedzy, a poprostu prób, doświadczeń, spostrzeżeń w kierunku badania człowieka już to za pomocą charakteru pisma (grafologia), już to przez obserwowanie twarzy (fizjonomistyka), już to ręki (chiromancya), już to przez zestawienie dwóch osobników, badanego i medyum (telepatya, magnetyzm).

Nim przypatrzymy się bliżej każdej z tych metod badania oddzielnie, rozprawmy się krótko z tak zwanem wróżeniem z kart, które nie posiada zgoła żadnej podstawy jakiegoś takiego rozsądnego formułowania przyczyn i skutków. Wróżenie z kart może być tolerowane, jako niewinna i we-

soła zabawa w towarzystwie, jako specjalność zaś, poważnie traktowana, jest bezczelnym wyzyskiem ciemnoty przez trywialnie głupie osobniki, rekrutujące się z pośród ordynarnych wiedźm.

Inaczej się zupełnie przedstawia sprawa doświadczeń w czterech innych wyżej wymienionych kategoriach badań.

Grafologia, fizjonomistyka i chiromancya to jest sztuka *poznawania* człowieka (wyraźnie—poznawania, a nie przepowiadania jego losu, wróżenia, o czem pomówimy niżej), opierają się na następujących pewnikach.

Człowiek, jako zjawisko bio-psycho-fizjologiczne, jako organizm materialny, jest sam w sobie całością nierozdzielalną, i wszystko, co go stanowi, jest jednolite, jednolite. Jak z kilku kości wykopaliskowych można zrekonstruować całe zwierzę przedpotopowe, któregośmy jednak sami nigdy nie widzieli, tak z „części“ człowieka można odgadywać jego całego.

Trudność więc cała będzie polegała na zgromadzeniu takiej sumy doświadczeń, by konsekwencya, wyciągnięta z danych piśmiennych, układu i wyrazu twarzy i głowy, z linii dłoni i budowy ręki, miały maksymalną szansę prawdopodobieństwa.

Stąd już wniosek, że grafologiem, fizjonomistą i chiromantą może być tylko człowiek ogromnego doświadczenia obserwacyjnego, dużej inteligencji i dużej znajomości duszy ludzkiej.

Czy to jednak już daje uprawnienie do wróżbiarstwa? Bynajmniej. Odszukanie całego człowieka z jego tylko pisma, twarzy czy ręki możliwe jest tylko w stosunku do chwili obecnej i prze-

szłej. Skądże jednak idzie przepowiadanie na tych podstawach przyszłości człowieka?

Oto wróżbici opierają się na następującym rozumowaniu.

Człowieka życie, jego myśli i jego czyny nie są niczem innym, jak tylko szeregiem konsekwencji.

Jeżeli widzę, że dany osobnik jest niespokojnego usposobienia, awanturniczy, namiętny i lekkoduch, to mam 90 szans prawdy na 100 w powiedzeniu, że ten człowiek w życiu będzie niestały, nieszczęśliwy i marnie zginie.

Jeżeli mam przed sobą osobnika, w którym odgaduję talent muzyczny, chociażbym widział, że nie gra on na żadnym instrumencie, w którym widzę estety i człowieka aspiracji i pracy, to mogę mu śmiało wróżyć, że będzie wybitnym muzykiem.

W takim razie, powiecie, takie pojmowanie rzeczy jest determinizmem. Bynajmniej, gdyż, jeżeli awanturnikowi powiem, że będzie marnie jego życie, to osobnik ten może usiłowaniem woli zmienić się i zostać solidnym dżentelmanem.

Grafologowie, chiromanci i fizjonomiści utrzymują, że w takim razie zmieni się jego pismo, jego ręka, jego twarz.

Zobaczmy jednak, jak wygląda tak zwana telepatya, to jest „odczuwanie“ człowieka przez człowieka, odgadywanie myśli i odpowiadanie na myślowe pytania.

Podstawą do doświadczeń tego rodzaju służy następujące rozumowanie. Jak dźwięk udziela się naszemu aparatowi słuchu przez falowanie powietrza, tak myśl, która jest ruchem tkanek mózgowych, wytwarzającym ciepło, udziela się przez



W PUSTYNI
Z Salonu T. Z. S. P.

ALFRED WIERUSZ-KOWALSKI

to właśnie ciepło innemu mózgowi, który, ciepło to przyjmując, wytwarza ten sam ruch tkanek, a więc odpowiednie myśli, o ile wogóle dwa dane systemy mózgowo-nerwowe są sobie wzajemnie odpowiednikami. Dlatego to telepatya nie jest możliwa wówczas, gdy dwa osobniki są organizmami zupełnie różnych kategorii.

Takie są ogólniki, na których spoczywają arcyciekawe dociekania, próby i doświadczenia chiromantyczne, grafologiczne i telepatyczne, mające za zadanie poznanie samego siebie, i wkraczające w tajemne mroki przyszłości, rzecz prosta, najzupełniej hypotetycznie. Godnym byłby litości człowiek, któryby się martwił dlatego, że mu

chiromantka „przepowiedziała“ rychłą śmierć, lub coś podobnego.

Nie znaczy to bynajmniej, by człowiek inteligentny nie znalazł w tych doświadczeniach bardzo ciekawych momentów, pouczających, czasem zdumiewających, a czasem wprost—zabawnych.

GUSTAW OLECHOWSKI.

AL. BRÜCKNER:

ŻYCIE POLSKIE W DAWNYCH WIEKACH (WIEK XVI-XVIII).

Ale wszystkie te zabawy skupiały się w jednej porze roku, w mięsopusty, zapusty; zresztą, prócz wesel naturalnie, tylko w dzień patrona szumniej się bawiono, solenizanta *wiązano* (wstęgą drogą, pasem i t. p., z czego się wykupywać musiał niegdyś; nazwa podarku imieninowego, *wiązanie*, pozostała i nadal).

Starszym wiodło się lepiej; bawił gościa gospodarz dyskursami i przypowieściami trefnymi; solą dowcipu i wesołej konwersacji szlacheckiej był *kalambur*. Więc powtarzał każdy, że *biesiada* nazwana, bo na niej *bies siada*; z *pokoju* żartował każdy, np. wniędę na *pokój* pański, aż stoi z Litwy pan Wojna: *bies* to, myślę, nie *pokój*, kiedy *wojna* na nim; żadno imię czy przezwisko, nawet miejscowe, nie wybiegało się przed kalamburami,

np. żeni się stary z młodą, rozumiał, że *Maryna*, a to on *na mary*; nawet obcym słowom nie przepuszczano, więc wymyślał np. na *fiolet* historyjkę, gdzie się *fi-olet* (śmierdzi) przyda, i tak ciągle. Obok kalamburów, *Rej* i *Potocki*, najbardziej typowi Polonusowie, uprawiali je najgorliwiej, były żarty nieskończone z ułomności fizycznych, z łysych przedewszystkiem, i z różnych innych niedoborów cielesnych i duchowych.

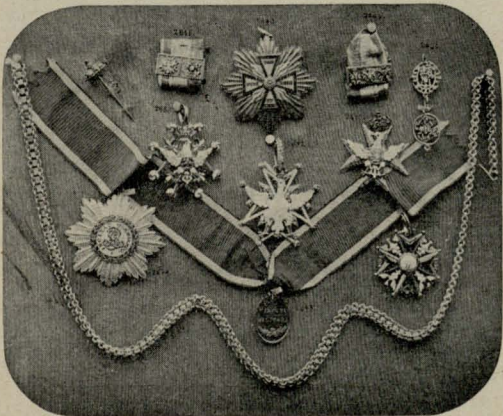
Z aktów Rzeczypospolitej Babińskiej, acz dopiero z XVIII-go wieku zachowanych, wiemy, jak niewybredny to humor: kalambury, münchhausiady, dosłowne tłumaczenia zwrotów obcych lub przenośni, toć jego podstawa. Bywały bardzo trafne, np., gdy wojewoda u Zygmunta III o wakującą właśnie dzierzawę na Litwie, *Dudy*, przymówił: za-

chęcał Zygmunt panów senatorów do zabawy, mówiąc, aby ochotniej i weselej było, na co ów wojewoda: „byłoby, Najjaśniejszy królu, ochotniej i weselej, kiedyby były *Dudy*“, dzierzawę z dudami, bez których niegdyś ochoty nie bywało, mieszając. Albo, gdy sołtys, o pana swego pytany, powiedział, że jest *nader* dobry (t. j. *na der*, na zdzieraniu!). To znowu chwałą niepewnego szlachcica, że to człowiek dobrego domu (bo, jak się dom ojca jego w Rawie obalił, to całą ulicę w poprzek zawałił), a ojciec był sługą Rzeczypospolitej (bo każdego wozil, kto mu zapłacił), a był urzędnikiem wielkim, t. j. chorążym (bo co niedzielę chorągiew koło kościoła nosił). Innego chwałą, że to człowiek zachowania wielkiego, bo go za czwartą kratą (we wieży) chowają, a taki prawdzi-

wy, że się długów zaprzec nie może i t. d. Kopalnia dowcipów i anegdot staropolskich dotąd wcale niewyczerpana, bywają tam jednak i żarty wcale nieskromne, co wiek i smak jego łąco znosiły.

Humor ten uprawiają nawet w nazwach potraw i ubiorów; nie zrozumiemy już, jaką to potrawę *miłosierdziem* zwano (*miłosierdzie* tak umie do octa doprawić i t. d., por. nazwę *mizeryi* dla sałaty ogórkowej); jaja stałe *białymi rakami* lub *owocem kokoszym* przezywano; *gramatyka* była polewką, a z fabuły *famuła* urosła; flaki zwano *Naliwajkami*, a cóż o *Bożem poszyciu*, zamiast włosów, powiemy, albo o *darmolegu* (kołnierzu) i t. p. To z Mazurów i grubej Rusi przesydzali, z *ręczników* (kijów) i t. d., i zaroilo się w literaturze od uniwersałów, testamentów, kolend, pacierzy mazowieckich, co się przedostały do niej z biesiad trefnych, albo z genealogii ruskich.

Dla sentymentów miejsca nie było, szczególnie jeszcze w dawniejszych czasach, kiedy to, jak *pedają*, panny i słowa rzecz nie śmiały i przed zaślubinami ledwo się gdzie pokazywały; nie miarkowana ich obecnością, mogła rozmowa tem drastyczniejsze przybierać formy; stąd ta rubasność wyrazów, owi *łuszczbochenkowie*, *ptuczywąsy*, *moczygęby*, *dybidzbany*, *liczyczopy*, *nabzdyżywi*, *wydmikufłowie*, *liżyobrazki*, *liczykrupy*, *storzypiętki*, *przekęsitytłowie* (o nie douczonych) i t. d. I nie były chyba salonowe ani wybredne owe „wdzięczne rozmowy i one pocziwe żarty, że więc i gęba się dobrze nie skrzywi od śmiechu“. Weseli kumpanowie układali śmieszne kazania, litanie i pacierze panieńskie (o odmianę stanu), konstytucje sejmów domowych, edykty króla Postowskiego, co z rotmistrzami Śledziowskim, Kapuścińskim, Kisielow-



Ordery polskie i dystynktorya cywilne i duchowne.

skim, Obarzańskim, Rybowskiem, Nawarzeńskim najechał pod Zalegardzielem Mięso-pust i go do Olejowa odwiózł. Oni to układali dowcipne zagadki, bawili się w filozofię domorosłą (np. pytali, czego najwięcej i t. p.), pod dobrym humorem nazywali chleb *stawinogą* albo *trwalcem*, gorzałkę (gochę) *mędrochną*, co wszystko umie, albo *wszechmogącą*, śledzia *gotowcem*, a kiełbasę *rychlicą*, rzepę suchą *kocim wrzaskiem*, rękawice *chuchawkami*, piwo *łykawką*, a szablę *bły-skawką* albo *pedziduszą*, konia *trzęsichwostem*, chorągiewkę *darmochwiejem*, a szubienicę eufemistycznie *złym razem* albo i *cierpiączką*. I zanosiła się szlachecka Polska od śmiechu homerycznego, i dykteryjki niezliczone, swoje i przywożne, przechodziły z pokolenia



Ś-ty Jan jałmużnik, rzeźba w drzewie z XV wieku.

w pokolenie; dziś jeszcze je znajdziemy, nieraz już całkiem na dnie osiadłe, między anegdotami i opowiadaniem wiejskiemi. A jaka zdolność do paszkwilów, odznaczali się nią Jezuita i wojowali nimi na protestantów, jak szlachta między sobą. Dla „amorów“ więc miejsca nie było, jak banalnie wyrażano się, gdy ktoś się damie zalecał: *następował jej* lub *zastępował za trzewik*, no i picie z trzewiczka bogdanki (już za czasów Rejowych) było chyba hołdem bardzo obcesowym, podobnym do trzaskania kieliszków o łeb goły w znak niekłamane go afektu, szczególnie wobec króla.

Kupidynek do pieśni ulatał; czego rozmowa i proza nie dostarczały, kryło się w wierszach sentymentalnych, których powódź Polskę zalewała, rzeczy dosyć jednostajne w gruncie. Słuchano i śpiewów, historycznych np., chociaż o własnych, dawnych zapomniano doszczętnie, i przysłuchiwali się żołnierze, jak obok dud „Serbin żałośny długi smyczek wlecze, łeb skrzywiwszy po poćciu, a rywułę (wino) siecze, grając im *starodubskie dumy*, jak przed laty Turków bili Polacy i mężne Chorwaty“; dumy kozackie przejmowali i nasi i popisywali się nimi: dumami o Chmielnickim i jego wodzach, o Nyczaju i innych. Nawet w pieśniach miłosnych, „tańcach“ i „padwanach“ lub „kurantach“, ukraińskimi motywami i śpiewami się zasilano: niema zbioru pieśni drukowanych czy rękopiśmiennych bez tekstów ruskich; od nas szły na Ruś częściej wiersze religijne, kanty (z naszych kantyczek).

Muzyką bawiono się najrozmaitszą; instrumentów nie wylicza ani opisuje Łoziński, ani Poliński w dziejach muzyki polskiej; przywożne to wszystko, jak nazwy wskazują, przeważnie włoskie, nawet *bandura* (t. j. pandora) i in., obok wschodnich *surm*, *dzin-gów* i t. d.; nawet *multanki* pasterskie (z Multan-Wołoszczyzny) rugowały piszczałki. Jak

z muzyką, bywało i ze strojami: rzecz w gruncie ta sama, z odmiennym nieco krojem, za to z całkiem nową nazwą, wysuwała się z modą na czoło i, krótko panowawszy, miejsca nowej ustępowała. Nie zmienia to jednak faktu, że nasz strój narodowy wszystko polskie zatracił, i krój, i nazwy. *Żupan* pozornie tylko polszczał, był *ziponem* i *dziponem* i z Turek na Węgry albo na Ruś przyszedł; o *kontuszu* niema co mówić, o *delii* i t. d.; polskie *zawieszenia* czy *noszenia* ustąpiły miejsca *manelom*, *feretom*, *tyrepe-lom*, *pontałom*. Mody nieraz i nie rozumiano, gdy syn z Francji w modnym, bo rzezanym, kabacie przyjechał, biedne matczyńskie całą noc kabat mu zszywało; z krótkimi kurtkami, kurtkami-dołmanami, u których wyżej kołnierz stał, niż od pasa wisało, nigdy się nie pogodzone zupełnie. Noszone się obcisłe, do stanu raczej, płaszczce nosił chyba obcy Włoch albo cygan-złodziej; burki tylko Tatarzyn albo żołnierz, co Tatarzyna ściał—srogo despektowano każdego innego szlachcica, coby się bez tego burki ważył; za to sam widok burki straszył, szczególnie około 1670 r., gdy się powszechnie czambułów tatarskich obawiano.

Ustąpiła więc dawna szarzyzna polska, dawny długi, poważny strój nawale z zachodu i wschodu, co się na ziemi polskiej witały; z tych to naleciałości wyrobił się powoli nowy, odmienny strój narodowy. Należała do niego i *karabela*, od miasta wschodniego (jak *demeszka* lub *damascenka*, *misiurka* t. j. z Egiptu, *kordyban* z Cordowy i t. d.) nazwana, do parady wyłącznie służąca, jak i *czeczuga*. Same nazwy stanowią rodzaj paszportu, więc *czapeczka* — *magierka* nie mogła być polską, skoroż jej nazwa, t. j.



Zegary i narzędzia astronomiczne z XV i XVI wieku.

węgierka, ojczyznę właściwą (i czasy Batorowe) wydała; za to np. obuchy i obuszki były odwieczne (*obuszkowano* się nimi, t. j. bito), chociaż ustąpiły nowym nazwom, *czekanom* i *nadziakom*. Strój kobiecy podlegał i częstszym, i radykalniejszym zmianom; nawet klejnoty przed modą się nie wybiegały, i wyśmiewała Anna Stanisławska staroświecką, kowalską robotę upominków, jakimi ją teść, kasztelan krakowski Warszycki, obdarzył.

Wróćmyż jednak z takiej wycieczki na pole dawnej obyczajowości, do książki p. Łozińskiego, traktującej wyłącznie o życiu szlacheckim, nie prawiącej więc nic o życiu miejskim ani chłopskim, o wpływie Krako-

wa i Gdańska i jego przemysłu artystycznego, o życiu w szkole i klasztorze, w kościele i grodzie, na sejmie i w obozie. Rozmiary jej były z góry ograniczone, jako dla encyklopedyi, w ich obrębie autor cudu dokonał istnego. Powtarzamy, można dodać rysów ciekawych np. dla myśliwstwa, gospodarstwa i t. d., ale linie główne, podstawowe, wytknięte po mistrzowsku, pozostaną nie zmienione.

Czego życzylibyśmy więcej, to rozróżniania czasów; autor przedstawia je jednolicie, dla krótkości, i zaciera przez to walne ich różnice. Mógł w r. 1574 np. znakomity Włoch, poeta i dworzanin, Guarini, pisać z Warszawy do domu o polskich krajach, że są bardzo dalekie, ale (polskie) dusze (włoskim) są bliskie, za czasów saskich niktby tego już nie powtórzył. Jeszcze z Polski przed 1650 r. bije nadzwyczajna powaga i surowość etyczna, nastrój jakiś podniosły, wystarczy przeczytać zbiór anegdot autentycznych, wydany spółcześnie („Co nowego“), aby odczuć i uszanować ten hart, cnotę, stateczność, co nawet albo właśnie z tego trefnowania przebijają, mimo obudzonego już warcholstwa i trzpiotowstwa. Jednak toczą raki to wspaniałe ciało; zaślepia umysły fanatyzm religijny, co od Włoch przyszedł, a mroczy głowy pijaństwo, czego się od Niemców nauczono; już przed 1650 r. wiadano, że, jak Francuzów gachowstwo, tak trapi Polskę opilstwo. Cały wymyślny regulamin obrzędów pijackich przyjęto od Niemców, chociaż się na to wzdrygały jeszcze zacne natury polskie, np. owego dworzanina, co nalewającego coraz gospodarza prosił: przyszedłem człowiekiem, niechże nie odchodzę bestyą. Zaczynało się od wilka (pozornie tylko polskiego; niemiecki to był wilkum, więc prawiono: Wilka, dzieci, tym, co tu u mnie nie bywali, aby pierwszy raz w dom mój przyjazd pamiętali i t. d.) a kończyło tak:

Kłękam, przysięgam, że już wina nie mam gdzie lać,
Stać na nogach nie mogę, pijana i czeladź.
Oknem trudno wyskoczyć, a izba zamknięta!
Przecież... uciekę i w karetę wsiedę;
I tu pić! Koźmi ruszyć nie widzę sposobu,
Kiedy ją z kielichami zalegą z stron obu.
Wylazłszy, idę pieszo okiju za wrota:
Toż wino, taż muzyka, taż i tam ochota!

Z tymi rakami dwa inne, anarchia i prywata, stoczyły kwitnącą Rzeczpospolitą do szczętu, ale wiek XVI a czasy Saskie—to walna różnica.

Bardzo trafnie podkreśla autor *sielskość* dawnego życia polskiego; do wyjątków należeli stary Bielski, co szlachtę do życia miejskiego namawiał napróżno, albo p. Wojt-



Sprzęty domowe—szkło. Kufle, szklanica i kielich.



Popiersie Jerzego Lubomirskiego i naczynia srebrne.

kowski, co, mając dobra ziemskie, „na burku“ żył i się tak bronil, gdy go o to strofowano: „Aza nie lepiej mieszkać z ludem na burku, niż na gnoju?“ We Włoszech szlachta w mieście mieszka, tem się sama poleruje i miasta budowne czyni, nasi już Polacy, w rozsypkę po wsiach mieszkając, żywot jakoby dziki prowadzą, a około roli wszytek rozum radzą. I to, co autor o Polsce *drewnianej*, skazanej więc co kilkanaście lub kilkadziesiąt lat na perzynę, prawi; co o wyjątkach świetnych, wedle których ogółu sądzić nie można; o bogatej nędzy i o próżnej wystawie, wszystko najprawdziwsze. Dla sprawiedliwej oceny należy tylko do Polski nie przykładac miary włoskiej albo francuskiej, ale czeska, węgierska, niemiecka, szlachta śląska lub pruska, frankońska czy saska, nie żyła wytworniej czy inaczej, niż polska, holdowała temu samemu trybowi.

Dał autor bajecznie kolorowy rys życia pańskiego i szlacheckiego, mimo wszelkiego lakonizmu; czy nie dałby się uprosić dać nam kiedyś obszerniejszy, bardziej szczegółowy? któż inny mógłby go w tem wyręczyć? Zamiast wymieniać gołosłownie np. ów pyszny list hetmana Chodkiewicza do żony albo Radziwiłła do ojca, których przeciętny czytelnik ani zna, ani odszuka, czyż nie wartoby ich przytoczyć? albo uwzględnić tyle innych zabytków, świadczących ciekawie o dawnych czasach? Np. Widawskiego „Exorbitancje“ z r. 1603, gdzie i o tem już mowa, że Polska jest wendetą (tandetą) wszystkiego świata; że w Polsce żyć nic innego, niż pić, że wywozimy wszystko z naszą wielką stratą, zmuszeni brać cenę, jaką obcy podadzą, bo nie można z tem wracać do domu, więc rymują: *Wrocław, co przywieziesz, to ostaw; Gdańsk koniec państw;* my im sprzedajemy zboże, woły i t. d., oni nam lalki, zwierciadła, dzwonki, okulary, szklanki malowane. A jakąż on ustawę przeciw zbyt kom wszelakim polecił! brał nawet od młodzieńców, co się z rejestru (pannom) zalecają, dwa złote; co na pamięć, jeden; kto wschodek od

brzucha do gęby z guzów uczyni albo drabinę z pętlami albo nogi pontaly albo czapragi obuje, by maślaną poplaskał, niech dwa złote płaci i t. d. I ileż to ciekawych pomników (np. wyliczania naszych piw, mody żołnierskiej, nie mówiąc o kobiecej) dopraszałyby się uwzględnienia; ile tych kawalków tryska życiem i kolorami.

Na niektóre objawy życiowe patrzy autor może zbyt srogo, na figle i facecje naszych poetów i prozaików, od Krzyckiego do Potockiego; „przy ich czytaniu chciałoby się zamknąć oczy i zatkać nos i uszy“. Przeciw takiemu wyrokowi apelujemy do historii; im bardziej się obyczaje kaziły, tem powściągliwszą stawała się mowa; nasi facecyoniści pozostali za coraz gorszym i występniejszym czasem w tyle, na poziomie owego wieku Bebela i innych facecyonistów, dla których, jak dla dawnych wieków ogółem, *naturalia* nie były *turpia*; z tymi żartami godziła się najzupełniej istotna wstydlivość, uderzająca nas w owoczesnej rozmowie i korespondencji, gdzie się i o najlżejszą wzmiankę jakichś przypadłości czy dolegliwości owymi sakramentalnymi frazesami: „uczciwszy uszy“ i t. p. zastrzegają.

Co autor o tym dziwnym świecie bez kobiet; bez sztuki (lecz z hiperprodukcją poezji i retoryki!) prawi; o jego stosunkach rodzinnych, chociaż możnaby niejedno dodać o władzy rodzicielskiej, o pożyciu małżeńskim, o położeniu sług—wszystko jak najtrafniej. I odżyło to dawne życie, nam



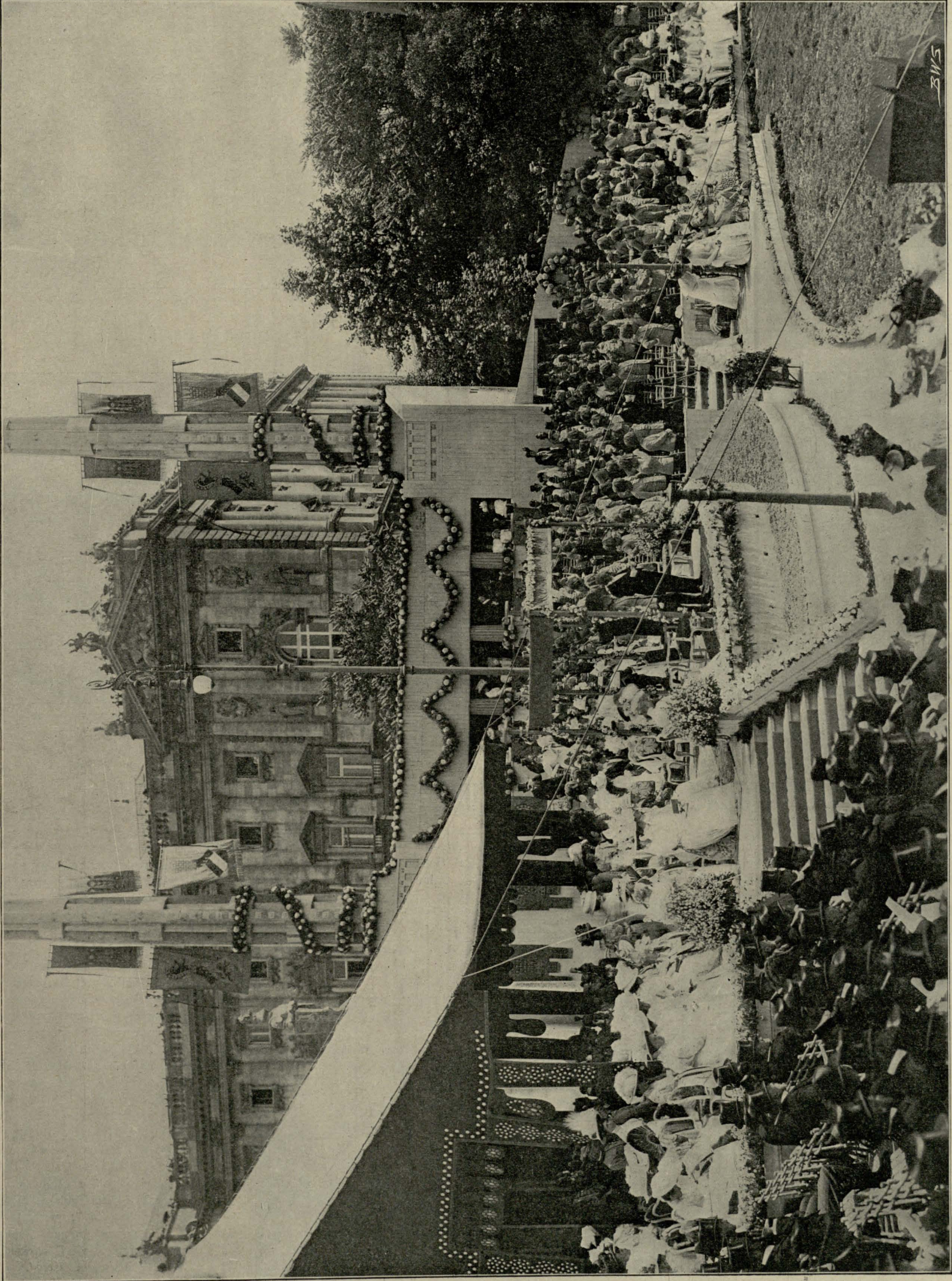
Herod, Herodyada i żołnierz, rzeźba w drzewie Wita Stwosza.

tak obce, a mimo to bliskie, i tylko mistrz tej sztuki dokonać potrafił, aby z tak małej książki, w sposób tak wytworny, o tylu rzeczach pouczył!

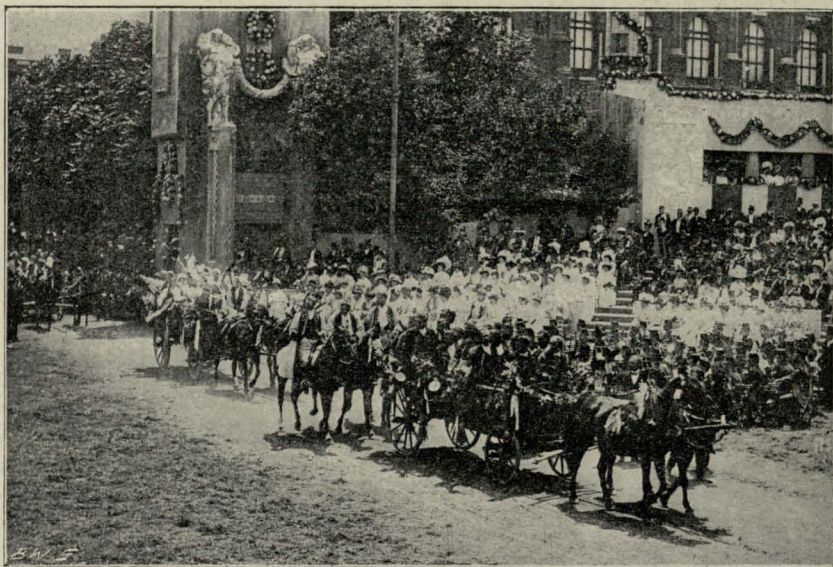
Do idealnej doskonałości brak tej książki jednego; *ilustracji*—tu znowu zemściło się jej przeznaczenie pierwotne dla encyklopedyi. Rycina byłaby tu niemal koniecznym dopowiedzeniem słowa, opisu, i aż się rzecz sama prosi, żeby np. przy wywodzie o nadziaku stanął wizerunek nadziaka Jana Kazimierza (u Krasińskich) albo przy sorokach sobolich rycina ich z Herberszteina. Więc i tu kołatamy do znanstwa autora, co sam chyba najlepiej brak ten zrozumie i usunie; i tu go nikt godnie nie wyręczy.

Tak wypadła pierwsza próba projektowanej encyklopedyi krakowskiej o Polsce i rzeczach jej. Jeśli którykolwiek z innych jej działów podobnej wysokości dosięgnie, powodzenie jej zapewnione.

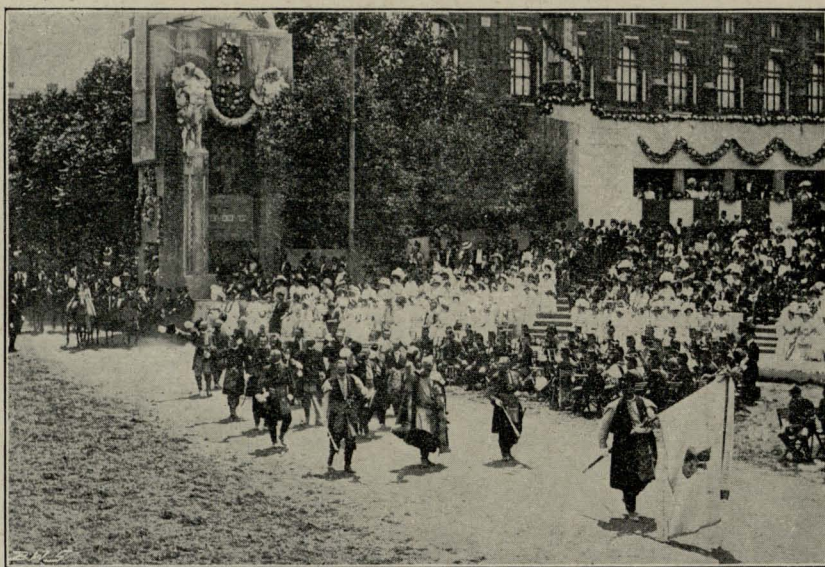




POCHÓD JUBILEUSZOWY W WIEDNIU. Pawilon cesarski u zewnętrznej bramy zamku cesarskiego. Pod baldachimem stoi cesarz, któremu udziela objaśnień prezes komitetu, Jan hr. Wilczek, z obu stron członkowie domu cesarskiego.



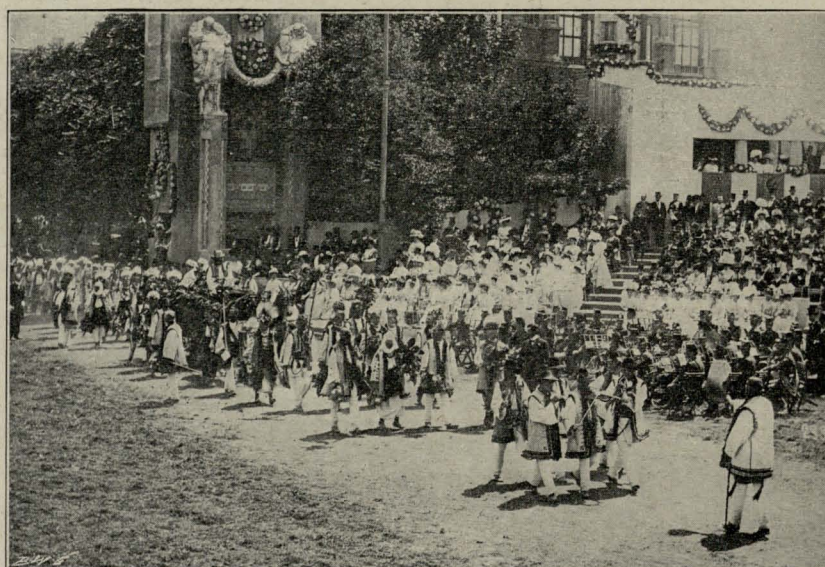
Wesele krakowskie, oblubienica p. Ptakówna, oblubieniec malarz p. Uziembło.



Towarzystwo strzeleckie lwowskie, poprzedzone przez kontuszowców ze sztandarem z obrazem Matki Boskiej.



Banderya krakowska przejeżdża przed cesarzem Franciszkiem Józefem.



Wesele góralskie z Podkarpacia w pochodzie wiedeńskim.

WIELKI POCHÓD JUBILEUSZOWY W WIEDNIU.

„Pochód jubileuszowy“, który oddawna zaprzętał uwagę Wiednia, a nawet monarchii austriackiej, solenizującej 60-lecie panowania Franciszka Józefa, przebył szczęśliwie w dniu 12-ym b. m. ośmiokilometrową przestrzeń pryncypalnych ulic *Kaiserstadtu*. 500 wypadków omdleń (zresztą lekkich), kilkadziesiąt tysięcy widzów na trzystu umyślnie wzniesionych trybunach; krocie ciekawych *sub Jove*, w oknach, kawiarniach, na drzewach i dachach; 12,000 „aktorów“ w pochodzie—oto liczby wiele mówiące. Mimo to, *der imposante Festzug* przeszedł, jak się wyżej rzekło, fortunnie i minął na podobieństwo fantastycznego snu, którego najefektowniejszym wszakże momentem były... grupy polskie!

Widowisko składało się z szeregu żywych grup, przedstawiających najważniejsze chwile z przeszłości historycznej państwa austriackiego, następnie zaś z drużyn współczesnych, etnograficznych. W historycznym tedy oddziale (punkt IX, odsiecz Wiednia), znalazł się z naszych tylko jeden Kossak, jako idealny wyobraziciel Jana III, otoczony hucem *arte* wyszyftowanej przez się skrzydlatej husary; w drugim natomiast miała Galicya 1300 reprezentantów płci obojga, którym w całości i pojedynczo powiodło się zdobyć fawor znawców i entuzjastyczny wprost oklask tłumów. Przyznać to musiała szowinistyczna (i tutaj?), niechętna nam *a priori* prasa wiedeńska, podkreślając,

iż „rekord w pochodzie wzięła Galicya tak ilością uczestników, jak ich sprawnością, malowniczością niezrównaną, tym dziwnym wdziękiem, trudnym zaiste do opisania“. Nasza „bajeczna kolorowość“, umiejętnie spożytkowana, odniosła bajeczny tryumf!

Niemieccy artyści źle obliczyli. Skąpe w figu-

rantów grupy ich, nieco przytem szare, nikły na olbrzymich rozmiarach *ringów*, podczas gdy nasz Kossak, Tetmajer, Uziembło (Kraków), Rozwadowski, Rybkowski i Obst (Lwów), powoławszy z góry masy i artystycznie nimi operując, przy tyle bogatym, naturalnym barw doborze, wywołali potężne wrażenie.

Czoło pochodu grupy wschodnio-galicyskiej (zorganizowanej doskonale przez energicznego kustosa Towarzystwa sztuk pięknych we Lwowie, Sokołowskiego) stanowiła kapela „narodowa“ w mundurach z roku 1831. Za nią szły ordynkiem: kawalkata włościańska z przedmieść Sambora; kompania dożynkowa z pod lwowskich Sokolnik (odzież od Piasta, miny od stu dyabłów!); mieszczenie zbarascy w czapkach „na zawiasach“; weselnicy z Budziwoja rzeszowskiego; łyki drohobyckie w uroczystych czamarach; szlachta chodackowa berezowska w „batorówkach“ i czarnych „pończach“; z krwi i kości polska, zagrodowicze „równi wojewodzie“; wreszcie pełna osobliwego kolorytu gromada „Huculów“ z Żabiego i Kosmacza pod Kossowem, chłopcy na schwał, dziewczki-amazonki.

Tu jeszcze podnieść należy arcyważny, liczebnie uderzający, mieniący się przepięknymi barwy zastęp bractwa strzeleckiego ze Lwowa, starej od Zygmunta Augusta konfraterni, która delegowała konno i pieszo swojego „króla kurkowego“, swoich



Lwowska kapela narodowa.



Husary polska z królewiczem Jakóbem Sobieskim na czele pochodu grupy odsieczy Wiednia

„marszałków” z starożytnymi laskami i panów „braci”, mieszczan najprzedniejszych, noszących się z senatorską.

Na wety zaś dla oka i ucha: wesele krakowskie z muzyką i przyśpiewkami, z pp. Tetmajerową i Rydłową, jako starościami, z całym łańcem „śliczności” Bronowic, Toń, Mogiły, Modlnicy, Krzesławic, które jednak wszystkie zaćmiła „panna młoda” (Ptakówna), przedmiot ogólnego podziwu.

A teraz *clou* pochodu: banderya „Krakusów” o kilkuset pysznych mierzynkach z chorążym, postem Ptakiem, w śnieżnych sukmanach, czerwienią podbijanych, w płonących, jak ogień, rogatywkach, opierzonych zawiesziszcie pawimi piórami. Jakie twarze, jakie ruchy, jakie junactwo, a przytem humor, grzeczność i swoboda! Szła zaś banderya ta bądź stępą, bądź kłusem, bądź też przy dźwiękach „Bartosza” (w nie zmaconym ani na moment sztyku wojskowym) wpadła, jak huragan, galopem przed trybunę sędziwego jubilatę, który salutował ją kilkakrotnie, ukazując demonstracyjnie jenerality i sztabowi. „To nieodrodni potomkowie husarzy Sobieskiego!” — pokrzykiwali, wiewając chustkami i kapeluszami, Wiedeńczycy.

Oto, co *ex consilio* miało być zrobione i co wykonano literalnie. Nic więcej. Wszystko zaś w najdrobniejszym nawet szczególe stylowe, rzetelne, bez sztychu, świecideł i kabotyńskiego efekciarstwa. I wszystko owiane artystycznym, właściwym ludowi naszemu poczuciem. *ski.*

Z TEATRU.

Wujaszek Jaś (Diadła Wania), sztuka w 4-aktach A. Czechowa (Teatr Mały).

2 × 2 = 5, satyra w 4-aktach Gustawa Wieda, przekład z duńskiego W. R. (Teatr Letni).

Dawniej — mówi mniej więcej temi słowy doktor Astrow w sztuce Czechowa — patrzcie, ile było w Rosji lasów, jakie olbrzymie przestrzenie zielone widzimy na tej mapie...

A w lasach — ileż życia! Ptaki chmurami całymi przeciągają nad bujną ziemią. Świergot ich, łopot ich skrzydeł napętnia powietrze. Dziś patrzcie na tę drugą mapę: gdzieś tam tylko widnieją zielone smugi. Ptaki umilkły. Zamiast życia pustynia. Jeszcze lat kilkanaście, kilkadziesiąt, i cóż stanie się z tą ziemią?

I u nas tak samo wycinają lasy... Codzień ich mniej. Codzień walą się samotne dęby bohatercko, martwo, na nawóz przyszłości, a nad społeczeństwem rozciąga się ta niewola dusz, o której wymownie tak mówi Zych, o której też pisze w dramacie swoim Czechow... Tak, ta rosyjska apatya padła też na nas... i dlatego to zapewne „Wujaszek Jaś”, arcydzieło dramatu rosyjskiego, przemawia do nas tak silnie, jakby napisane było przez Polaka.

I chociaż sytuacja ta u nas przejawia się inaczej, w większych szamotaniach się w skutek silniejszych kontrastów energii z bezwładem ogólnym, w mniejszej świadomości tych, co upadli, w większej szczerości i sile tych, co działają, to jednak wyniki podobne. Tak, u nas, to prawda, trudniej o jednostki, świadome swych obowiązków i celów, żyjące jednocześnie w rozterce ze sobą w skutek braku żywiołowej mocy życiowej. Ludzie u nas są trochę więcej żądni wypowiedzenia siebie, więcej żądni czynu, więcej żyjący na zewnątrz. Ale mało takich, co o obowiązkach wiedzą, i stąd podobieństwo sytuacji, naogół biorąc, u nas i w Rosji. W Polsce jest zarazem i lepiej, i gorzej. Więcej woli u jednostek, mniej poczucia tego, co konieczne w społeczeństwie, które bywa też nieraz cyniczniejsze, niż w Rosji (oczywiście nieurzędowej).

Więc też, choć ten rodzaj melancholii beznadziejnej, pustki dusz, co się wypaliły przedwcześnie, marnie, nie jest właściwością pojedynczych dusz polskich, to jednak stało się to teraz właściwością społeczeństwa polskiego. W sztuce Czechowa woła do nas zarówno rosyjskie, jako też polskie, terażniejsze sumienie: „Leżymy, jak szlam w stawisku”... a tam wycinają lasy... domy płoną...



Dożynki na Podolu w pochodzie wiedeńskim.

Niechże Polacy chodzą na „Wujaszka Jasia” jak najczęściej, tem bardziej, że ta cudowna sztuka przygotowana została przez p. Gawalewicza bardzo starannie. Przedstawienie „Wujaszka Jasia” wprost nasuwa refleksję, że teatr w Warszawie stworzyć można, byleby dobrać sobie odpowiedni, do sztuki prawdziwej należącej repertuar i dbać o jego wykonanie. Szczególniej akt ostatni został wyreżyserowany świetnie, były tam nawet akcenty subtelności w zespole ogólnym, był nastrój odpowiedni, robiony dyskretnie, artystycznie.

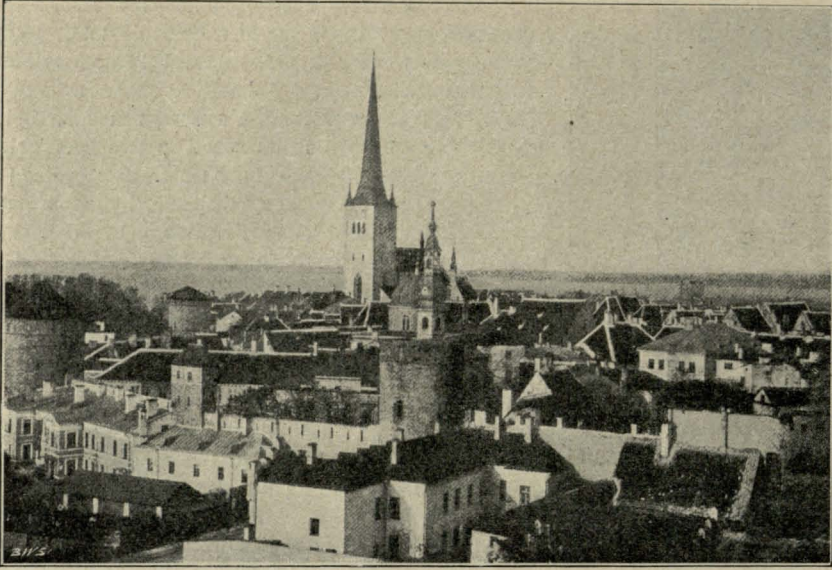
Teatr stworzyć można tem bardziej, że w trupie p. Gawalewicza znajdują się teraz poważne siły aktorskie. Jako Sonia, p. Pawłowska stworzyła postać, chwytającą za serce. Grała z tem umiarkowaniem środków, które dowodzą już opanowania swego talentu, dojrzałości środków artystycznych. Artystka zmieniła całą swoją fizjonomię. Starła się być nieładną, szarą postacią. Wzruszała głębią uczucia, serdecznością, prostotą.

„Wujaszkiem Jasiem” był p. Weychert. Nieraz już miałem sposobność podnosić zalety wielkiego talentu tego artysty. I tym razem p. Weychert stworzył postać tak żywą, że zapomniało się o teatrze. Stworzył ją środkami prostymi, stopniował siłę swych wybuchów przedziwnie, miał nadzwyczajny naprzykład sposób jakiegoś rżęzącego śmiechu, który targał nerwami. Był to istotnie zgrzyt schorzałego duchowo człowieka. Naogół jednak jego „Diadła Wania” był może zbyt jeszcze *silnym* typem, może zbyt żywiołowym, czy zdrowym jeszcze.

P. Adwentowicz, jako Astrow, zawiódł nadzieje. I on był żywym człowiekiem na scenie, lecz stworzył Astrowa innego, niż chciał Czechow. Zacierał się w wykonaniu p. Adwentowicza wykrint tej postaci wolnego człowieka, który, zważywszy o swoich uczuciach i mocy życiowej, pozwala sobie wprawdzie na nonszalancje, pijaństwa i szczerą zupełną, nigdy jednak nie bywa brutalnym, nie obniża tonu. Zacierała się poezja tej duszy dzielnej, lecz spustoszała.

Świetnym dziadusiem z lirą był p. Orliński, bardzo dobrą gospodynią p. Bartoszewską, zbyt wiotką i cierpiącą żoną profesora p. Duninówna, choć, jak zawsze, grała z dużą inteligencją i uczuciem.

Co do „*2 × 2 = 5*”, sztuki G. Wieda, wystawionej w teatrze Letnim, to trudno ją uważać za satyrę. Na to za mało w niej stylu, za dużo — rzeczywistości, a co gorsze, że jest rozwlekłą i — za często — nudną. Najlepszy akt, ostatni, zanadto odległy jest od pierwszych dwóch w sposobie ujęcia rzeczy. Na satyrę czeka się przez trzy akty, by jej rąbek w czwartym odsłonić. Zresztą są tam figury bardzo dobre i żywe, choć monotonię powtarzające swoje właściwości przez całą sztukę, mało bogate. Są to typy dobre do jednoaktówki. Nie stać im życia na długą sztukę.



Ogólny widok Rewla.

Wystawa była wytworna, znacznie staranniejsza, niż zwykle, gra artystów dostosowana do treści. Doskonałą postać stworzył p. Lenczewski, w roli młodego chłopca o kobiecym wyglądzie. Również dobrym był p. Wilczyński, jako cygan-artysta. Miał tyle życia i humoru, że wierzyło się w tę postać. P. Nowicki grał z wielkim spokojem, co jest niewątpliwie zaletą, lecz w tej roli, szczególnie w satyrze, odrobina więcej humoru dałaby efekt już świetny, brakowało bardzo niewiele. Sztukę doskonale wyreżyserował p. Nowicki.

JAN KLECZYŃSKI.

Anglia—Rosja—Niemcy.

Ostatni, dziejowego niewątpliwie znaczenia, znamienny zjazd króla Edwarda VII z cesarzem Mikołajem II nie przestaje zajmować uwagi całego świata politycznego.

W prasie europejskiej rodzi się tysiące domysłów na punkcie domniemań o istotnych tematach rozmów na morzu Bałtyckim. Oficjalnie ogłoszone „toasty” zamienne nie pouczyły nas właściwie o niczem, należy je też traktować zwykłą miarą towarzysko-dworskich ceremonii. Nie uchylają one w niczem rąbka tajemnic dyplomatycznych i istotnego celu odwiedzin monarchy wielkobrańskiego.

Dla polityki prasowej pozostaje więc jedynie dostępną ogólna orientacja doby przeżywanej w Europie, i wyciąganie dopiero z niej należytych konsekwencji, wiążących się ze zjazdem rewelskim. Przy ocenie tej sytuacji europejskiej wszyscy, realnie na życie patrzący, zgodzić się muszą na jedno: mocarstwa żyją pod wpływem wzmagającego się niebezpieczeństwa ze strony Niemiec.

Przesycona zaborczym duchem pruskim polityka Rzeszy niemieckiej zagłębia wszędzie pazury i grozi podbojami. Kwestyę niemiecką u siebie ma nie tylko Rosja, lecz Włochy, Hiszpania, Francja, Belgia, Holandia... Niemcy są jedynym mocarstwem, które jawnie, otwarcie nie tał zamiarów zaborczych i obiecuje rozpocząć nowe podboje.

Prasa nacjonalistyczna niemiecka, zarówno jak liberalna i postępową, pchają Berlin do wojny, zaś ministerstwa właściwe tworzą swe forpoczty i torują drogi do wkroczenia na obce terytoria. Pod takim strachem ciągle żyć nie sposób, rodzi się potrzeba wspólnych porozumień, kontaktów i przymierzy.

Stąd największy wróg Niemiec, król angielski Edward VII, z taką życzliwością witany i przyjmowany jest na wszystkich dworach Europy, gdziekolwiek dotąd składał oficjalne wizyty o charakterze wybitnie agitacyjnym *contra* Berlin.

Najbardziej szła dotąd oporem akcja dla idei króla Edwarda w pozyskaniu poparcia Petersburga. Zbyt zakorzeniły się nad Nową wpływ

Wilhelma II, biurokracya zaś rosyjska w połowie prawie rekrutuje się z Niemców... Rosja nadto zbyt dobrze miała w pamięci porażki sewastopolskie i ostatnią pomoc, udzielaną przez Anglię Japonii, aby w Petersburgu zbyt trudnym było nastrajać stale opinię przeciwko Londynowi.

A przyznać trzeba, że w tem „nastrajaniu” antiangielskiem poważną rolę odgrywał ambasador niemiecki nad Nową. Z Berlinem zresztą Petersburg, zwłaszcza od narad w Biörke, ściśle związany był solidarnymi umowami na punkcie

jednolitości w kierowaniu się polityką antipolską. Król Edward miał więc nielada do przecięcia trudności, aby przełamać pierwsze lody i za cenę wszelką doprowadzić do pierwszego zjazdu rosyjsko-angielskiego w Rewlu...

Rezultaty tego zjazdu są dla nas dotąd jeszcze tajemnicą, wielki niepokój w prasie półrządowej niemieckiej, jaki od czasów narad słowiańskich i ostatniego spotkania rewelskiego dał się odczuć w sposób silny, jest zarazem jednak dobrym znakiem, zwiastującym przyłączenie się Rosji do akcji króla angielskiego.

Bylibyśmy nieobliczalnymi optymistami, przewidując natychmiastowy zwrot Rosji w kierunku przeciwniemieckim. Petersburg za bardzo związany jest licznymi węzłami i umowami z Berlinem, aby jedna wizyta króla angielskiego zmiany doraźne i radykalne zaprowadzić miała.

Niemniej, oceniając powagę pośrednictwa Francji w nawiązaniu sojuszu z Anglią, spodziewać się możemy, że stosunki rosyjsko-niemieckie stale podlegać będą musiał pewnemu oziębieniu. Czego nie dokona narazie dyplomacya, w tem zastąpi ją krewka prasa liberalna rosyjska, słusznie nastrajająca się coraz bardziej przeciwko Berlinowi, pewnemu źródłu wszelkich „przyjacielskich” podszeptów reakcyjnych.

Opinia społeczeństwa rosyjskiego coraz wyraźniej nastraja się przychylnie ku Anglii, państwo zaś nawet nawpół konstytucyjne z opinią tą liczyć się jest zniewolone. A Anglia w tej chwili dla rządu rosyjskiego przedstawia nadto ważny interes finansowy.

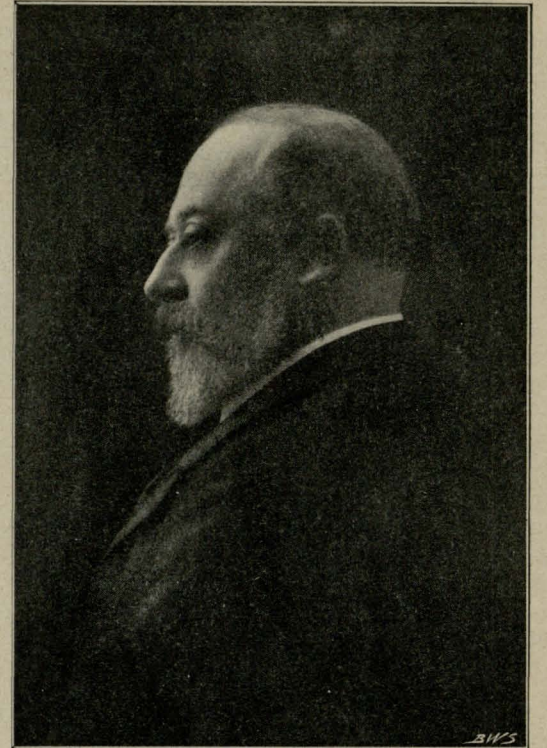
Rosji potrzebna jest pożyczka. Niemcy dotąd wciąż obiecywały otwarcie kredytu, ale w Berlinie każdorazowo kończyło się tylko na przyrzeczeniach. Anglia tymczasem jest tem mocarstwem, które lubi dotrzymać obietnic. Przy nawiązaniu stosunków politycznych trwałych z Londynem pożyczka rosyjska miałaby szanse urzeczywistnienia. Konieczność więc ekonomiczna, jeżeli już nie sympatye polityczne, zdaniem naszym, muszą pchać Petersburg w przyjazne objęcia Albionu.

Nie potrzebujemy nadmieniać, że perspektywa tych nowych koniunktur anglofilskich w Petersburgu może być tylko jak najzyczliwiej przez nas witana.

St. Gr.

Majowy zeszyt „Sfinksa”.

P. Władysław Bukowiński ma prawdziwie szlachecki, w najlepszym znaczeniu tego wyrazu, rozmach w redagowaniu *Sfinksa*. Jest szczodroliwym, rozrzućnym gospodarzem w swoim piśmie, jest po staropolsku gościnnym dla gości swoich czytelników. Obie-



Gość angielski na wodach bałtyckich, król Edward VII.

cywał im za bajecznie niską cenę swego wspaniałego miesięcznika (*siedm. rubli rocznie!*) ośm do dziesięciu arkuszy miesięcznie, tymczasem wydał jeden tylko zeszyt 10-cio arkuszowy, pozostałe liczyły po 11, 12 arkuszy.

Nareszcie nadszedł maj. Wiosna, radość! Oto szczodroliwy redaktor sprawia czytelnikom niespodziankę i daje im aż trzynaście arkuszy, zamiast przeciętnych dziewięciu! To się nazywa fantazyą! (Wogóle zaś w pięciu pierwszych zeszytach dodał 12 arkuszy druku nad program!)

I jakież to jeszcze, te arkusze! Rzeczy pierwszorzędnej wartości. Samych poezji jest dwa arkusze, i to jakich: Norwida, Kasprowicza, Dębickiego, Gomulickiego, Bukowińskiego, Markowskiej, Savitri, Marcinkowskiej, Nawrockiego, Błęszyńskiego, Wikszemskiego, etc., doprawdy, taka hojność zaczyna przypominać *Chimerę!*

Zeszyt ozdabia prześliczna podobizna Norwida (według świetnej akwaforty Fr. Siedleckiego) wraz z pięknym artykułem redaktora z powodu dwudziestej piątej rocznicy śmierci wielkiego poety (23 maja 1883). Dalej widzimy studia p. t. „Zaleski i Norwid” przez Wł. Jankowskiego, dokończenie ogromnego studium o „Dziejach Grzechu” Ignacego Matuszewskiego, dalszy ciąg „Nietoty” T. Micińskiego, „Rówieśnic” Z. Rygier-Nałkowskiej, dokończenie „Symbolizmu wspomnień” E. Abramowskiego, doskonale tłómaczony przez St. Masłowskiego urywek z dzieła Ruskina „Paweł Veronese przed inkwizytorami”, dalej oceny i sprawozdania z wystaw, z książek, z teatru, z muzyki, z literatury francuskiej...

Doprawdy, bogactwo i dobór treści wprost imponujące!

Ach, ale byłbym zapomniat o świetnych, oryginalnych „Zestawieniach” profesora Wacława Nałkowskiego, o dalszym ciągu poematu *Deotymy*, o cyklu „Arcana” W. Wolskiego...

Pismu tak żywo i po pańsku redagowanemu życzymy najpomyślniejszego rozwoju! M.

ZŁOTE LISTKI.

Ledwom cię poznał, już cię żegnać muszę!
A żegnam cię, jakgdybym przez wieki
Żył z tobą razem i kochał twą duszę,
A teraz jechał w jakiś kraj daleki,
I nie miał nigdy już zobaczyć ciebie,
Chyba gdzieś, kiedyś, po śmierci, tam w niebie!

Z. Krasinski: „Do Laury”.



Poświęcenie tablicy Antoniego Malczeskiego przy ulicy Elektoralnej Nr 3.

Odsłonięcie tablicy pamiątkowej Antoniego Malczeskiego.

W *Kuryerze Warszawskim* z d. 17 lipca 1826 r. Nrze 168 zamieszczono ogłoszenie następujące: „Po Antonim Malczeskim pozostałość, przy ulicy Elektoralnej pod Nrem 796 w miejscu otwarcia spadku znajdująca się: dnia 27 lipca r. b. od godziny 4 po południu, w największej części z szaf, stolików, kanap i krzeseł, tudzież *niewco* z garderoby, porcelany, fajansu i szkła składająca się, w skutku upoważnienia J. W. Prezesa Trybunału Cywilnego I Instancji Wojew. Mazowieckiego, w dniu 11 lipca r. b. do Nru 2,857 udzielonego, przez publiczną licytację sprzedawaną będzie, o czem chęć kupna mających zawiadamia się. *Jan Feliks Wilski*, Regent Kanc. Ziem.”

Na frontonie domu pamiątkowego Nr. 796, numerem policyjnym 3 przy ulicy Elektoralnej oznaczonego, widnieje obecnie tablica marmurowa, staraniem i kosztem Towarzystwa Opieki nad zabytkami przeszłości i jej komisji Starej Warszawy wmurowana, z napisem:

W TYM DOMU MIESZKAŁ I ZMARŁ
2 MAJA 1826 ROKU
ANTONI MALCZESKI
AUTOR „MARYI”.

Wymowna ta pamiątka po poecie, którego utwór do najpopularniejszych w piśmiennictwie naszym należy, przypominać będzie odtąd Warszawianom sympatyczną postać człowieka, któremu na krótko przed zgonem, dzięki utalentowanemu pióru Mochnackiego, danem było doczekać się uznania, nie zawsze towarzyszącego doli wybitniejszych w społeczeństwie naszym pisarzy.

Oprócz tej pamiątki, mamy na cmentarzu Powązkowskim skromny, lecz piękny nagrobek, wystawiony staraniem i za inicjatywą ś. p. Hipolita Skimborowicza. Synowiec jego, ksiądz Hipolit Skimborowicz, redaktor *Dziennika Powszechnego*, poświęcił tablicę pamiątkową w dniu 15 czerwca 1908 r. w otoczeniu członków Zarządu Towarzystwa Opieki, poczem spisano odpowiedni protokół dla zachowania go w aktach. Tablicę wykonał majster kamieniarski, Jan Rudnicki.

Wystawa ludowa.

Niezmiernie interesującą i doniosłego znaczenia wystawę mieliśmy w Warszawie: wystawę przemysłu ludowego. Otworzyła ją wspólnymi siłami Towarzystw: Zjednoczone Koło Ziemianek, Towarzystwo popierania przemysłu ludowego, Towarzystwo krajoznawcze i zarząd rękodzielniczek „Dźwignia”.

Wystawa, mieszcząca się przy ulicy Foksal (nr. 18, w „Świetlicy ziemianek”), była imponująca. Obejmowała pięć sal obszernych, w których zgromadzono wszystko, co tylko lud nasz oryginalnie produkuje.

Dotychczas wiedzieliśmy już z dawniejszych wystaw sztuki stosowanej, jak ciekawe, barwne motywy i jakie ich bogactwo wyziera z oryginalnej ornamentyki ludowej. Dziś po raz pierwszy na tej wystawie przemysłu ludowego ujrzeliśmy produkcję ludową w całości, nie tylko w rzeczach sztuki, choćby „stosowanej”, ale też w rzeczach już czysto użytkowych, nic z pięknem nie mających wspólnego. Są tam bowiem zwyczajne kosze plecione, obok barwnych kilimów, wycinanki łowickie obok płócien, guzików, prześlicznych zabawek, lalek, przyborów tkackich, wełny wspaniałej etc. etc. Ach! prawda, są i koronki, i lalki, bo właściwie też utwory „sztuki stosowanej” tak są piękne i ciekawie ozdobione...

Pokazuje się więc, że lud nasz w każdej produkcji samodzielnej okazuje tu niezastąpiony niczem instynkt estetyczny, który sprawi może kiedyś, że dzięki niemu życie nasze nabierze pięknych barw, stanie się nawet zewnętrznie, oryginalnie polskiem.

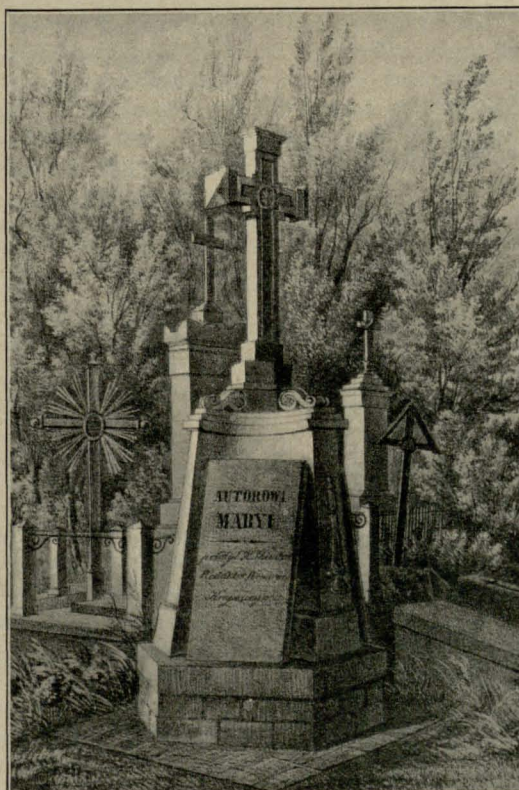
Wystawcom rozdano liczne listy pochwalne, dyplomy, nagrody pieniężne, oraz proste „wyróżnienia”.

Należałoby wystawy takie urządzać częściej, aby stały się zachętą dla nas do kupowania wyrobów swoich, dla włościan zaś—do ich produkowania na szerszą skalę.

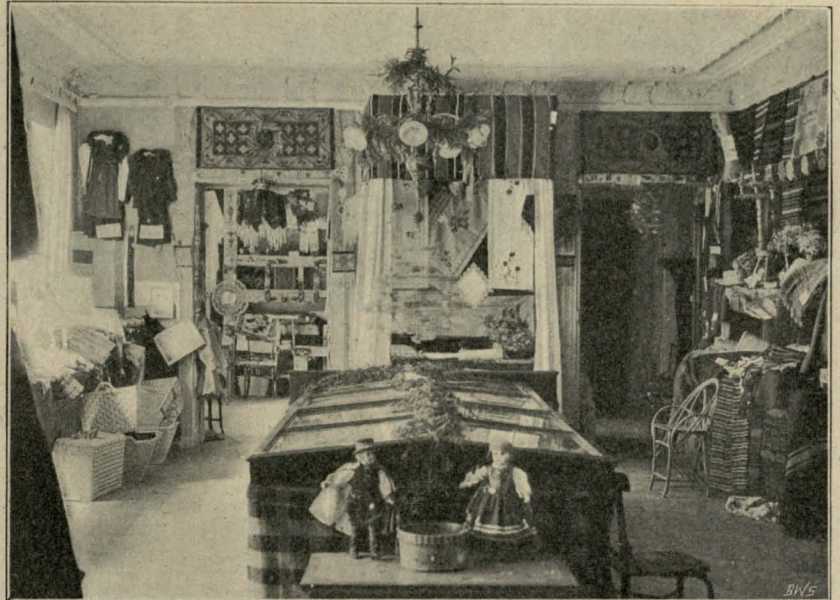
Do czarnej księgi.

Wszczętą w kraju naszym akcją przeciwko wykupywaniu ziemi w Królestwie Polskim przez Niemców poparł cały naród i wytworzył jednolitą opinię, grożąc piętnowaniem publicznym wyzbycia się choćby piędzi ziemi oiczyściej.

I w takiej oto chwili wytworzonej solidarności społecznej nadchodzi do nas nad wyraz przykra wiadomość. Przynosi ją Nr. 43 *Głosu Płockiego* w słowach: „Dobra Mościska w powiecie rypińskim, przestrzeni 214 morgów, obciążone tylko pożyczką Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w ilości 6,848 rub., sprzedane zostały przez p. Leona Walińskiego za 14,550 rub. osobom nastę-



Pomnik Antoniego Malczeskiego na Powązkach.



Wystawa pracy kobiet i przemysłu ludowego w „Świetlicy” Ziemianek. Fot. Ł. Dobrzański.

pującym: małżonkom Janowi i Ludwice z Ryntfleiszów Czarskim, Julianowi i Emilii Kracke, Augustowi i Annie Szrul, Karolowi Wycke, Krystyanowi Laskowskiemu, Stanisławowi i Stefani Ptaszyńskim, Ignacemu i Bolesławie Cieszyńskim, Franciszce i Juliannie Sułkowskim.

„Fakt ten sprzedaży polskiego majątku w większej części w ręce niemieckie podajemy do ogólnej wiadomości—pisze *Głos Płocki*—albowiem uważamy sprzedawanie w ręce obce ziemi polskiej w Królestwie za czyn przeciwnarodowy, który powinien być przez opinię publiczną piętnowany.”

Wiadomość *Głosu* podajemy na jego odpowiedzialność, podzielając najzupełniej opinię, że każde wyzbycie się choćby piędzi ziemi polskiej winno być podawane pod sąd społeczeństwa.

Dzielimy się jednak informacjami, że, na skutek głosów prasy, w wielu okolicach naszego kraju przerwano już traktowanie o nabyciu ziemi naszej przez obcych krajowi Niemców-kolonistów.

Fałszywe nekrologi.

Kochany Wojtuś lubił sensacje.

Raz wpada do Udziałowej z takim pośpiechem, że potrafił trzy strojne damy, wyrzucił stolik z dwoma mazagranami i omal że nie unurzał się w kawie, którą pił jego przyjaciel, również jak i Wojtuś, dziennikarz, zwany „Łapownikiem”.

— Co się stało?

— „Maniek Lotos” umarł!

— Co?! ten łajdak bez talentu?

„Maniek Lotos” był to pseudonym znanego autora.

— Łajdak? Dlaczego?

— A cóż ty nie wiesz, że on pisywał paszkwile na najbliższych przyjaciół—wołał „Łapownik”—na najporządniejszych ludzi, którzy mu wierzyli całym sercem, że brał pieniądze od wszystkich partii politycznych, pisząc w pismach wszelkich odcieni i polemizując z samym sobą...

— Co?! polemizował z samym sobą?

— A jakże, pod różnymi pseudonymami... Raz nawet wziął pieniądze na drogę na wystawę do Paryża, i wiesz, co zrobił? wyjechał do Otwocka i stamtąd walił „światne” korespondencje...

— Ha ha ha! Ale jaby tam wołał wyjechać do Paryża.

— Ty, ty! On też pojechał, ale później, kiedy kilka takich kawałów zrobił, tylko, że siedział nie miesiąc, ale pół roku. Zresztą to wszystko jeszcze nie. Mówią, że zdefraudował 10,000 rubli w jednej fabryce, gdzie był inkasentem, że pewna dama... podstarzała już... wiesz?...

— Ee, jakieś plotki...

— Nie, nie, nie! Ja wiem prawie napewno... I jeszcze nie koniec. Tyle zarabiając, żałował swojej



Stanisław ks. Lubomirski.

W. ks. Lubomirski
Właściciele zwycięskiej stajni wyścigowej.

Stefan ks. Lubomirski.

Stolpe, dyrektor stajni wyścigowej
ks. ks. Lubomirskich.

matce dwóch rubli, kiedy poszła po doktora... Jakaś dziewczyna umarła przez niego w szpitalu... w nędzy...

Wojtuś wstał i chciał odejść.

— Niechże cię wszyscy dyabli wezmą! Zupełnie mnie rozczarowałeś do tego faceta. A szkoda! Już miałem przygotowany taki efektowny felieton...

— Jakto? już napisałeś? kiedy?

— Przecież on chorował już od miesiąca... Przewidujący dziennikarz musi być gotów na wszystko...

— Pokaż, pokaż.

— Masz, mogę ci go darować. Po tem, co powiedziałeś, nie napiszę o tej kanalii ani słowa.

— No, no, no!

— W każdym razie nie tak ostro.

— No, no, no! A stosunki, stosunek w redakcji, u znajomych, co? „De mortuis”...

— Nie będę na to zważał.

„Łapownik” już nie słyszał odpowiedzi, pograżony w czytaniu. Nagle wstał rozpromieniony.

— Świetnie, znakomicie, możesz mi to dać?

— Naturalnie, możesz się nawet pod tem podpisać...

— Dziękuję ci serdecznie. Odplacę ci, czem chcesz, kiedy chcesz. Buzi!

Polecił do redakcji.

Wojtuś patrzył za nim z pewnym smutkiem. Po chwili zaczął żałować swojej pracy. Zawsze byłoby to z kilkanaście rubli... Teraz trzeba będzie drugi raz pisać... pisać ostrożnie, z namysłem... A może to wszystko nieprawda? Ee, nie, on o tem już nieraz słyszał, ale w formie pogłosek... A „Łapownik” wie wszystko... A to kanalia! — zaklął nagle. — Czyżby on rzeczywiście podpisał mój hymn pochwalny na Lotosa?...

* * *

Nazajutrz pojawiły się o „Mańku Lotosie” liczne nekrologi. Jeden tylko, w skromnym piśmie ideowym, mówił prawdę. Wśród pozostałych wyróżniały się niesłychanym uwielbieniem zmarłego dwa: jeden „Łapownika”, drugi — Wojtusia. Ten drugi był nawet najpiękniejszy, najgorętszy, wpadał w ekstazę...

* * *

— Czyż warto być wobec tego uczciwym człowiekiem? — myślał melancholijnie Wojtuś, czytając swoje własne dwa artykuły. — Cała pociecha w tem, że w sądach o żywych nie mniej się myśli, niż w nekrologach...

META.

Uczona polska przyrodniczka.

Ostatni numer kwartalnika *La Revue Psychologique*, wychodzącego w Brukselli pod redakcją d-ra Józefa Jotekówny, kierowniczkę laboratorium psychologicznego przy uniwersytecie brukselskim i profesorki psychologii doświadczalnej w szkołach normalnych Mons i Charleroi, podaje portret i sylwetkę uczonej naszej przyrodniczki, d-ra Michaliny Stefanowskiej, byłej



Michalina Stefanowska.

docentki uniwersytetu genewskiego, która następnie przez lat 10 prowadziła w instytucie fizyologicznym w Brukselli niezmiernie ciekawe badania nad systemem nerwowym. Ciesząc się niezwykłym uznaniem zagranicą, przez Tow. neurologów belgijskich, przewodnicząca II-go kongresu neurologów i psychiatrów w Brukselli w 1906 roku, dr. Stefanowska za-
tęskniła za krajem i, chcąc szerzyć wiedzę i ukochanie przyrody wśród młodzieży naszej, osiadła w Warszawie na stałe i opuści nas o tyle tylko, o ile nie znajdzie warsztatu pracy dla siebie.

„Olbrymia praca, talent ogólnie uznany, niezależność umysłu, pierwszorzędna doniosłość studyów naukowych dra Stefanowskiej, które otworzyły pole nowym badaniom, nie mogą zostawić obojętnymi dla niej tych, co interesują się postępowaniem nauki” — czytamy w *La Revue Psychologique*.

Po wyrazie hołdu i nadziei ujrzenia przyrodniczki naszej znowu wkrótce w Brukselli, autor sylwetki obiecuje czytelnikom obszerny artykuł, obejmujący przegląd wszystkich prac naukowych d-ra Stefanowskiej. Dwie najważniejsze z nich, dotyczące badań nad komórką nerwową i nad rośnięciem

zwierząt i roślin, ukazały się niedługo w dwóch tomach u Doin'a w Paryżu, stanowiąc niejako całokształt pracy ostatnich lat 10-ciu, spędzonych poza krajem.

W Warszawie dała się poznać dr. Stefanowska przez szereg wykładów popularnych z dziedziny przyrody w Uniwersytecie dla wszystkich i przez cykl odczytów na temat „Fizjologii i higieny”, wygłoszonych w Muzeum przemysłu i handlu, a urządzonych przez Tow. kursów naukowych.

Odczyty te, oparte na wynikach najnowszych badań w tym kierunku, doprowadzonych do doskonałości w pracowni Atwatera, zawierając wskazówki, nie-

zbędne dla unormowania zdrowotności naszej, powinny być powtórzone raz jeszcze i wyjść w książce oddzielnej, aby przynieść do najszerszego ogółu.

Derby austriackie.

Zwycięstwo polskiego konia w Wiedniu, odniesione nad czołowymi końmi Niemiec, Austrii i Węgier, nabrało szczególnego rozgłosu poza sferą, która stale śledzi wypadki na wyścigach i hodowlę koni.

Stajnia książąt Lubomirskich z Kru-

szyny odnosi niebawem tryumf. Tryumf to nie przypadkowy: jest on rezultatem długoletnich, świadomych i celowych wysiłków w kierunku wyprodukowania najlepszych koni, nie szczędząc pracy i kosztów i nie zrażając się licznymi niepowodzeniami.

Książęta: Stefan, Władysław i Stanisław Lubomirscy jeszcze w końcu roku 1895 przy współudziale specjalisty, p. Kazimierza Stolpego, zaczęli formować stado, nabywając kolejno w Anglii dwadzieścia kilka klaczy najprzedniejszej krwi, oraz ogiera „Karltona”, wychowanego przez osiadłego i znanego w Anglii hodowcę, hr. Antoniego Mokronowskiego. Barwy kruszyńskie figurowały w najpoważniejszych biegach w Warszawie, Petersburgu i Moskwie z różnym powodzeniem.

Na Derby austriackie nikt się dotąd nie ważył z miejscowych hodowców z niezapomnianym ś. p. Ludwikiem Grabowskim na czele. Hodowla austro-węgierska ma wyrobioną reputację w hodowli europejskiej, dlatego „Intrygant” przyjęto w Wiedniu z lekceważeniem, nawet po jego pierwszym zwycięstwie w mniejszym wyścigu.

Tymczasem „Intrygant”, idąc w szalonym tempie po rozmokłym torze, rozrzucił wprost przeciwników, przybyło całe 4 długości pierwszego do mety, bijąc najpotężniejszego swego przeciwnika, pruskiego „Horyzonta”.

Sfery sportowe przyjęły owacyjnie wiadomość o zwycięstwie „Intryganta”, a z nimi również cała polska prasa.

Dość jeszcze możemy, że stado książąt Lubomirskich, łączące hodowlę koni pełnej krwi z hodowlą dzielnych koni użytkowych, znajdujące się na folwarku Widzów, zostaje pod kierunkiem p. Stolpego, sekretarza Tow. wyścigów konnych w Królestwie Polskim. Ł.

Malarstwo polskie w barwnych odbitkach

wychodzi w zeszytach co dwa miesiące, pod redakcją

STEFANA KULIKOWSKIEGO.

W każdym zesz. po 4 reprodukcje dzieł sztuki polskiej.

Zeszyty II i III wyszły z druku i zawierają reprodukcje obrazów: **Olgi Boznańskiej, Maryana Wawrzeńnickiego, Gustawa Budkowskiego, Henryka Siemiradzkiego, Wincetego Wodzinowskiego, Michała Wywiórskiego, Wojciecha Kosaka i Wojciecha Gersona** z objaśnieniami H. Piątkowskiego, A. Gawińskiego, T. Jaroszyńskiego, St. Kulikowskiego, A. Piotrowskiego i innych.

WARUNKI PRENUMERATY:

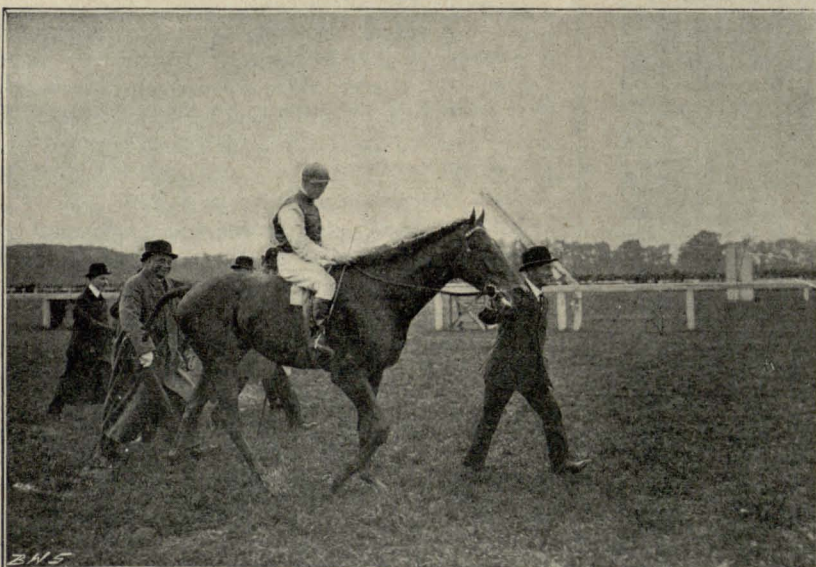
Zeszyt pojedynczy rub. 1 kop. 50, dla prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” zniżona na rub. 1.

6 zeszytów rub. 9, dla prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” zniżona na rb. 6.

Przesyłka zeszytu kop. 25, przesyłka 6 zesz. rb. 1 k. 50. **Ekspedycja główna w księgarniach Gebethnera i Wolffa w Warszawie, Gebethnera i S-ki w Krakowie.**

Ekspedycja zeszytów po cenie zniżonej tylko w administracji „Tygodnika Ilustrowanego”.

Zeszyt IV wyjdzie we wrześniu r. b.



„Intrygant”, zwycięzca wiedeńskiego „Derby”.

KRONIKA.

Tetmajer po czesku.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer staje się sławnym nie tylko w Polsce, ale też i w Europie. Przekłady Tetmajera po niemiecku spotykały się już kilkakrotnie z entuzjastycznymi krytykami. Niemniej znany jest Tetmajer po rosyjsku. Widziałem też przekłady francuskie, czeskie... Obecnie Czesi przyswoili sobie te precyzyjne nowele, arcydzieła w literaturze polskiej, które Tetmajer zatytułował „Na skalnym Podhalu”. W bibliotece czeskiej „Svetova Knihovna”, pod redakcją Jaroslawa Kvapila, wyszedł I i II tom „Na skalnym Podhalu” w przekładzie Franciszka Voňdraczk.

Zmarli.

Aniela z Hochów Andersowa, żona wybitnego lekarza, zasłużonego obywatela,

prezesa Polskiego Towarzystwa Fotograficznego i redaktora *Fotografy Warszawskiego*, zmarła w sile wieku. Dotkniętemu ciosem dr. L. Andersowi ślemy serdeczne wyrazy spótczucia.

NEKROLOGIA.

Ś. † P.

Seweryn Nowomiejski.

26 kwietnia zmarł w Tyflisie w 67 roku życia inżynier dróg komunikacji, tajny radca, Seweryn Nowomiejski. Po skończeniu korpusu inżynierów w 1864 roku zmarły był przeznaczony na Kaukaz i tu blisko przez pół wieku pracował na polu inżynieryjnym; przechodząc przez wszystkie stopnie hierarchii służbowej, ś. p. Seweryn Nowomiejski pozostawił po sobie cały szereg



Seweryn Nowomiejski.

prac technicznych wysokiej wartości; zakończył życie na stanowisku naczelnika kaukaskiego okręgu dróg komunikacji i prezesa tyfliskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Technicznego. Zmarły pozostawił po sobie na Kaukazie, a szczególnie w Tyflisie, gdzie spędził ostatnie lat 30 swego życia, niezatartą pamięć, jako człowiek szerokiej wiedzy i niezwykłych zalet duszy i serca. Polska kolonia w Tyflisie traci w zmarłym jednego z założycieli katolickiego Towarzystwa Dobroczynności i serce, gorąco bijące dla kraju i rodaków. Zwłoki zmarłego przewieziono z Tyflisu do rodzinnego majątku Imienin pod Kobryniem w gubernii grodzieńskiej. Niechaj rodzinna ziemia lekką będzie szlachetnemu jej synowi.



N A D E S Ł A N E.

„F. KOZŁOWSKI” Telef. 39-99
OBECNIE **S. Nowacki**
Warszawa, Rymarska 7, róg Leszna

NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO: Lamp, Porcelany, Fajansu, Szkła, Galanterii, Noży, Widelcy etc., etc. Wynajmuje nakrycia stołowe, piatery, bieliznę, krzesła, stoły.

ŻYRANDOLE
kościelne i salonowe do świec i gazu. Wielki wybór. Najniższe ceny. Reperacje i odnawianie żyrandoli.

W wielkim wyborze przyzmy kryształowe do żyrandoli. Jedyny palnik naftowo-żarowy bez wszelkich komplikacji 60% oszczędności nafty. Komplet rub. 3.

Grzebienie i szpilki do upinania fryzur damskich

szylkretowe, rogowe i celuloidowe, poleca

STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

C-SKORYNA i S-KA FABRYKA MASZYN I KAMIENI MŁYŃSKICH BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA - PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE. OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t. p.

ALFONS MANN
Warszawa, Tłomackie 3.
Fabryka założona w 1819 r.

Narzędzia lekarskie. Wyprawy położnicze. Bandaże i Pasy. Pończochy elastyczne. Trąbki słuchowe. Termophory (do gorących okładów.)

W. CYBULSKI i S-ka
Warszawa, Nowo-Senator. 7.
Telefon 60-29
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

Salon „ARS” w Krakowie przeniesiony został na róg Rynku Głównego 42 i ulicy Św. Jana 1. Otwarty codziennie, nie wyłączając świąt i niedziel, od g. 10—1 i od 2—5. Wystawa ciągle zmieniających się rzeźb i obrazów pierwszorzędnych artystów polskich. Wejście od ul. Św. Jana, I piętro.

Sanatorium dla chorych piersiowych
D-ra K. Dłuskiego, w Zakopanem, Tatry polskie.



Zakład otwarty przez cały rok. Wspaniały widok na Tatry. Lasy świerkowe. Wystawa wszystkich pokoi południowa. Obszerne leżalnie dla leczenia klimatycznego. Wzorowe urządzenia pod względem higieny. Oświetlenie elektryczne. Winda, kąpiele, natryski. Ogrzewalnie centralne. Wodociąg zimnej i gorącej wody na wszystkich piętrach. Utrzymanie wraz z opieką i zabiegami lekarskimi 9 kor. dziennie. Pokoje od 2 koron dziennie. Powozy na zamówienie do pociągów. Poczta i telegraf w samym zakładzie. Lekarze mówią po polsku, francusku niemiecku i rosyjsku. CENY UMIARKOWANE.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer Na Skalnym Podhalu
TOM IV.
Cena rub. 1 kop. 30.
Skład główny w księgarni GEBETHNERA I WOLFFA.

ODPOWIEDZI.

Pani Kulczyckiej z M. Adresu p. Mėnil mógłby udzielić autor, obecnie w Zakopanem, Przecznicza 19 (Galicya).

Staniewski z Fiotrkowa. Rebus z N-ru 21: „Lampa oświeca pokój, a nauka umysły”.

Bol. Żer. Szkoła aplikacyjna dramatyczna przy warszawskich teatrach rządowych.

Dwaj czytelnicy z Leodyum. „Sommosierra” W. Kossaka wystawiona była w Warszawie w r. 1901. Reprodukowana w *Tygodniku* Nr. 23 r. 1901. Posiadamy tylko jeden egzemplarz tego numeru, cena kop. 20, z przesyłką pocztową poleconą kop. 40.

Długoletniemu prenumeratowi. Pan Reymont bawi zagranicą, listu WPana zakomunikować nie mogliśmy. Adres: Zakopane Antolówka.

Interesowanemu. W sprawie konkursu na afisz wystawy „Sztuka w życiu dziecka”, ogłoszonego przez Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, żadnych informacji udzielić nie możemy. Należy zwrócić się do administratora T. Z. S. P., p. Jana Krywulka.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa
W WARSZAWIE,
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą

w prenumeracie pism krajowych i zagranicznych po cenach redakcyjnych.

NARZĘDZIA LEKARSKIE, ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE, WYROBY NOŻOWNICZE

Bronisław Krug
Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.
Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

Apteka E. Filleborna, Marszałkowska № 87 róg Wspólnej, Telef. 14-79

poleca **Wody mineralne** świeżego czerpania **1908 roku.**

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

A. WRÓBLEWSKI i S-ka



TRĘBACKA 13, Telefon 176.
Filia MARSZAŁKOWSKA 100, Telefon 11.00.

ZAKŁAD LECZNICZY DENTYSTYCZNY Telefon 167.49

Lekarza Dentysty **Stefana Życzkowskiego i Wł. Wiktora**
porada 50 k., leczenie, plombowanie, zęby sztucz. najnow. syst. Marszałkowska 153 róg Królewskiej

Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej
KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

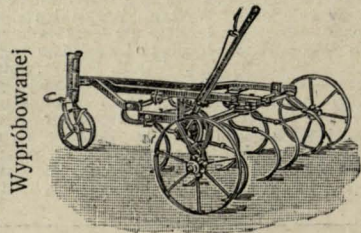
POŁĄGA pensjonat Laury Walewskiej, willa „Świtez” nad brzegiem morza, willa „Goplana” w ogrodzie. Pokoje, wygodnie urządzone, od 50 kop. do 3.50 dziennie, sezonowo od 30 do 150 rub., kuchnia wykwintna, całodziennie utrzymanie rb. 1 kop. 75, w „Świtez” i 1.35 w „Goplana”. Wynajem mieszkań z kuchniami w willach hr. Zofii Tyszkiewiczowej. Informacje listowne: Walewska, Połoga gub. Kurlandzka.

FORTEPIANY, PIANINA,
PIANOLE, FONOLE
GEBETHNER i WOLFF
ORGANY, MELODYKONY
Warszawa, Krak.-Przed. 17

KUPUJĘ BRYLANTY
złoto, srebro i kwity lombardowe
HENRYK JUWILER,
Nowy-Świat 59, I piętro front. telef. 55,28
Sprzedają biżuterię i srebra okazyjne, kontentują się małym zyskiem, bo w mieszkaniu.

Wielki wybór najnowszych
Kultywatorów sprężynowych

zastosowanych do wszelkich rodzajów
gleby i do różnej siły pociągowej.



Szczegółowe opisy przesyłam na żądanie
ALFRED GRODZKI
Warszawa, 33 Senatorska.



Słynna ze swych własności aromatycznych, właściwych substancjom roślinnym, służącym do jej przygotowania.

DO NABYCIA WSZĘDZIE.



Żądać wszędzie z aniołem.

LEKARZ DENTYSTA A. ZAWADZKI

ZIELNA 7 róg Złotej, daw. Marszałkow. 108
Telefon 184.47. Przyj. od 10—2 i od 3—5i pół.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**
Browaru poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

Dr. I. Wapiński ord. klin. szpitala świętego Łazarza Nowosienotorska 10. Telefon 942. Choroby skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.



Najsilniejsze naturalne gorące kąpiele siarczano-mułowe. Rezultaty niezrównane. Urządzenie łaźni i hoteli zakł. od najskromniejszych aż do wykwintnych. Wiadomości udziela **Dyrekcya Kap.** w Piszczanach, na Węgrzech, albo D-r Teichmann, zimą Kraków, latem Piszczany.

MILUJĄCYM ZDROWIE! poleca:
Okulary i Binokle z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych, **Oliwa** usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, **Bandaż elektryczny** usuwają rupturę, nie krępują ruchów od rb. 6, **Przepaski higieniczne** Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów **w dobrym gatunku.** Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie **Michała Pik,** Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia Marszałkowska 111. Telefon 16.81

Pensjonat hydropatyczny Dra Ebersa w Krynicy otwarty od 1 czerwca do 30 września w nowym zarządzie **Józefa Downarowicza** właściciela pensjonatu „Ukraina” w Krakowie. Prospekty na żądanie.

Lecznica D-ra Tarnawskiego w Kosowie (St. kolei Zabłotów) w Galicyi w połud.-wschodnich Karpatach, otwarta od 1 maja do końca października. Leczenie wodą, dyetą (także jarska i owocowa), kąpielami słonecz., gimnastyką i przyspasabianie do życia higienicznego.

VENUS puder uznany na wystawach higienicznych za najlepszy i nieszkodliwy. **PIEGI** plamy przyszcze, usuwa **Crem Venus** odświeża i udelikatnia cerę
AGATOL proszek i eliksir do **ZĘBÓW** z silnym aromatem, najlepsze z dotychczas znanych.
Poleca **Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34.**

DELICIA Centralnego Laboratorium Chemicznego (Czekay'a i Krysiewicza) jest najwięcej rozpowszechnionym pudrem ryżowym w pudełkach po 15, 30 i 50 kop.

PLYN **HEMOGEN MAGISTRA KLAWE** stosowany przy ogólnym osłabieniu, małokrwistości, osł. nerwów i u rekonwalescent. każdego wieku. Uznany przez powagi lekarskie, ja- **dzielny środek krwiotwórczy i pobudzający apetyt.** Wyrób laboratorium apteki **Magistra Klawe,** Warszawa, 10 Pl. Św. Aleksandra.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn **Krakowskie Przedmieście No 15** dom Hrabiego J, Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF. Współredaktor literacki Artur Oppman (Or-Ot). Kierownik artyst. Józef Holewiński. Sekr. red. Stefan Gorski. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2. — Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa